

Victoria

Knut Hamsun



roman



Texte intégral

HAMSUN KNUT

WIKTORIA

HISTORIA PEWNEJ MIŁOŚCI

KSIĄŻKA I WIEDZA

1989

1.

Syn młynarza wałęsał się tam i sam i rozmyślał. Był to chłopak czternastoletni, silny, ogorzały od słońca i wiatrów, pełen najróżniejszych pomysłów.

Gdy dorośnie, zostanie fabrykantem zapalek. Dopieroż to będzie awantura ucieszna, kiedy ukaże się z siarką na palcach i nikt nie będzie miał odwagi podać mu ręki. Jakiegoż respektu zażywać będzie wśród kolegów z racji swego diabelskiego rzemiosła!

W lesie rozglądał się za swymi ptaszkami. Znał je wszystkie, wiedział, gdzie ich gniazda, rozumiał ich krzyki i odpowiadał im naśladując ich głosy. Nieraz już zanosił im kulki z ciasta, zagniecione z mąki z młyna ojca.

Wszystkie drzewa nad ścieżką leśną to jego dobrzy znajomi. Wiosną puszczał z pni oskołę, zimą zaś opiekował się nimi jak dobry ojciec, od śniegu je uwalniał, prostował gałęzie. Także hen w górach, w opuszczonym kamieniołomie żaden kamień nie był mu obcy; powykuwał w nich litery i znaki i poustawiał w takim porządku, jakby gminę parafialną dokoła swego pasterza. Dziwy dokonywały się w starym kamieniołomie.

Skręcił w boczną drogę i zszedł nad staw. Młyn był w ruchu, potworny i ogłuszający łoskot rozlegał się dokoła. Przechodząc tędy zwykł głośno ze sobą rozmawiać. Każda kropla wody miała tu swoje odrębne, zamknięte w sobie życie, o którym można było zawsze coś nowego powiedzieć; tam zaś, przy śluzie, woda spadała już w dół i wyglądała jakby tkanina lśniąca, rozwieszona do suszenia. W

stawie, poniżej wodospadu, znajdowały się ryby; nieraz wystawał tam z wędką.

Gdy dorośnie, zostanie nurkiem. Tak, nurkiem. Z pokładu okrętu będzie schodził wtedy w głębiny mórz, w krainy nieznane i królestwa, gdzie wielkie i osobliwe rosną lasy, chwiejąc się cicho i tajemniczo, i gdzie na dnie wznosi się zamek z koralu. I wtedy z okna zamku królowa skinie na niego i powie: - Pójdź do mnie!

Wtem słyszy za sobą głos. To ojciec woła:

- Janek!... Przysłano po ciebie z zamku. Masz zawieźć młodych państwa na wyspę!

Pobiegł co tchu. Nowa i wielka łaska spłynęła na syna młynarza.

„Dwór pański” wznosił się na tle zielonego pejzażu niby mały zameczek, ba, niby pałac olbrzymi w samotni. Był to dom biały, drewniany, z mnóstwem okien łukowych w ścianach i w dachu, a z wieży okrągłej powiewała flaga na znak, że w domu są goście. Lud nazywał dworek zamkiem. Przed dworkiem z jednej strony rozciągała się wąska zatoka, a z drugiej - wielkie lasy; w dali widniało kilka chat wieśniaczych.

Janek pobiegł na pomost i pomógł młodym ludziom wsiąść do łodzi. Znał ich od dawna: były to dzieci z zamku i ich koledzy z miasta. Wszyscy mieli na nogach buty wysokie, przydatne do brodzenia, Wiktoria natomiast miała tylko trzewiki spięte klamrą. Była panienką dopiero dziesięcioletnią i dlatego też, kiedy dopłynęli do wyspy, trzeba ją było przenieść na brzeg.

- Czy mogę cię przenieść? - spytał Janek.

- Nie, ja! - rzekł Oton, panicz z miasta w wieku konfirmacyjnym, i wziął ją na ręce.

Janek stał i patrzył, jak ją Oton niósł wysoko na ląd. Słyszał, jak mu dziękowała. Po czym Oton zwrócił się do niego:

- A ty pilnuj łodzi... Jak on się właściwie nazywa?

- Janek - odparła Wiktoria. - Tak, on będzie pilnował.

Pozostał sam. Tamci z koszami w ręku poszli w głąb wyspy na poszukiwanie jaj. Stał chwilę i medytował; chętnie by z nimi poszedł, łódź można przecież na brzeg wciągnąć. Ciężka? Wcale nie! Chwycił łódź i do połowy na ląd wyciągnął.

Słyszał śmiech i paplaninę oddalającej się młodzieży. Ano - do widzenia.

Właściwie mogli go byli zabrać ze sobą. Znał gniazda, do których by ich zaprowadził

bez długiego szukania; znał niezwykle, w górach ukryte jaskinie, w których gnieździły się ptaki drapieżne z owłosionymi dziobami. Nawet łasicę widział tam pewnego razu.

Zepchnął łódź z powrotem na wodę i popłynął dokoła na drugą stronę wyspy.

Zrobił już kawał drogi, kiedy nagle usłyszał wołanie:

- Wracaj. Tu ptaki nam płoszą!

- Chciałem jeno paniczom pokazać, gdzie można znaleźć łasicę. - odrzekł niepewnym głosem. Czekaj chwilę. - A potem moglibyśmy okurzyć mrowisko? Mam przy sobie zapalki.

Nie dano mu odpowiedzi. Wtedy zawrócił i popłynął znów do przystani. Tu ponownie wciągnął łódź na brzeg...

Gdy dorośnie, kupi od sułtana wyspę i nikogo na nią nie wpuści. Dostępu do wyspy będzie broniła kanonierka. „Wasza Wysokość”, oznajmia mu niewolnicy,

„łódź jakaś osiadła na mieliźnie. Znajdujący się w niej młodzi ludzie zginą”.

„Niech zginą!”, odpowie. „Wasza Wysokość, błagają o ratunek, moglibyśmy ich jeszcze uratować. Między nimi jest jakaś dama w białej sukni”.

„Ratujcie ich!”, rozkazuje głosem gromowym:

Tak więc po wielu latach spotyka znowu dzieci z zamku i Wiktoria do nóg mu pada i dziękuje za ratunek. „Zbyteczne dziękowanie. Spełniłem tylko swój obowiązek”, odpowie. „Możecie tu na mych ziemiach chodzić swobodnie, gdzie wam się żywnie podoba”. A potem otworzyć każe bramy swego pałacu i ugości całe towarzystwo; potrawy każe podać na złotych misach, a trzysta czarnych niewolnic tańczyć będzie i śpiewać przez całą noc. Kiedy jednak dzieci pałacowe zbierać się będą do odjazdu, wtedy Wiktoria, nie mogąc zapanować nad sobą, do stóp mu się rzuci z łkaniem, że go kocha. „Wasza Wysokość, pozwól mi zostać, nie odtrącaj mnie, zatrzymaj mnie, panie, jako jedną ze swych niewolnic...” Wzruszony i rozmarzony powlókł się w głąb wyspy. Tak, musi stanowczo uratować dzieci zamkowe. Kto wie, może teraz właśnie zablądziły na wyspie? Może Wiktoria zawisła między skałami i grozi jej niebezpieczeństwo? A on - wystarczy mu tylko ramię wyciągnąć, aby ją wyswobodzić.

Lecz dzieci, ujrawszy go, zdziwiły się wielce. Czyżby ośmielił się pozostawić łódź bez opieki?

- Ty odpowiadasz za łódź - rzekł Oton.

- Mógłbym wam pokazać, gdzie rosną maliny - proponuje Janek.

Towarzystwo milczy. Jedyne Wiktoria ujawnia żywe zainteresowanie:

- Ach, maliny? Gdzież one rosną?

Panicz miejski wszelako inaczej zdecydował:

- Nie pora teraz na szukanie malin.

Janek odezwał się znowu:

- Wiem także, gdzie są muszle.

- A czy są w nich perły? zapytał Oton.

- Pomyśl tylko, gdyby były w nich perły! - zawołała Wiktoria.

Janek odpowiedział:

Nie, tego nic wiem. Ale muszle leżą daleko stąd, na białym piasku. Trzeba by łodzią podpłynąć i jeszcze nurkować.

Pomysł całkowicie wyśmiano, a Oton rzucił:

- Tak, ty właśnie wyglądasz na nurka.

Janek począł ciężko oddychać.

Gdybyście chcieli, mógłbym wejść na tamtą górę i duży kamień zepchnąć do jeziora - rzekł.

- A to po co?

- Ach, tak sobie. Zobaczylibyście, jak spada.

Ale i tę propozycję odrzucono i Janek milczał już zawstydzony. Potem z dala od innych, na drugim końcu wyspy, zaczął szukać ptasich jaj.

Kiedy całe towarzystwo zebrało się znowu na brzegu przy łodzi, okazało się, że Janek uzbierał najwięcej jaj. Niósł je ostrożnie w czapce.

- Jakim sposobem znalazłeś tak dużo jaj? - zapytał panicz z miasta.

- Wiem, gdzie znajdują się gniazda - odparł Janek uszczęśliwiony. - Złożę je do twoich, Wiktorio.

- Stój! - krzyknął Oton. - Na co to?

Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni. Oton wskazał czapkę i zapytał:

- Któż mi zaręczy, że czapka jest czysta?

Janek nic na to nie odpowiedział. Szybko minęło jego szczęście. Odwrócił się i poszedł z powrotem w głąb wyspy.

- Co mu się stało? Dokądże znowu się wlecze? - spytał Oton niecierpliwie.

- Dokąd idziesz, Janku? - woła Wiktor i biegnie za nim.

Przystanął w postawie pokornej i odpowiedział głosem przyciszonym:

- Włożę jajka z powrotem do gniazd.

Stali chwilę i patrzyli na siebie.

- A potem pójdę do kamieniołomu, po obiedzie - rzekł.

Wiktor milczała.

- Wtedy mógłbym ci pokazać jaskinię.

- Tak, ale ja się bardzo boję - odparła.

- Opowiadałeś, że w niej tak ciemno.

Wówczas Janek, mimo swego wielkiego strapienia, uśmiechnął się i rzekł odważnie:

- Tak, ale ja przecie będę z tobą!

Całymi dniami bawił się tam, hen na górze, w dawnym kamieniołomie.

Ludziska nieraz go tam widzieli buszującego i rozmawiającego, jakkolwiek był sam jeden; czasami udawał plebana i odprawiał nabożeństwo.

Miejsce to było od dawna opuszczone, kamienie mchem porosły i zatarły się wszelkie ślady rąk ludzkich. Ale wewnątrz owej tajemniczej jaskini syn młynarza wszystko uporządkował i bardzo pomysłowo przyozdobił, i tam też przebywał jako dowódca najwaleczniejszej w świecie bandy zbójników...

Uderza w srebrny dzwon. I w tejże chwili wskakuje do środka małej człowieczek, karzeł z brylantową sprzączką u czapy. To jego służący. Do ziemi się schyla w niskim pokłonie. „Gdy nadejdzie księżniczka Wiktorina, wprowadź ją tu natychmiast” - rozkazuje Janek głosem donośnym. Karzeł kłania się ponownie do samej ziemi i znika. Janek wyciąga się wygodnie na miękkim dywanie i duma.

Poprosi ją, aby tam usiadła, po czym poda jej wyborne potrawy na misach srebrnych i złotych; jaskinię oświetli płonący stos drewna. Za ciężką brokatową zasłoną w końcu jaskini mieścić się będzie jej łożo, a dwunastu rycerzy stanie na straży...

Janek podnosi się, wypełza z jaskini i nasłuchuje. Rozlega się szelest i trzask gałęzi.

- Wiktorio! - woła.

- Jestem - brzmi odpowiedź.

Idzie jej naprzeciw.

- Prawdę mówiąc, boję się - rzekła.

Janek wzrusza ramionami i mówi:

- Dopiero co tam byłem. Właśnie wracam.

Wchodzą do jaskini. Janek wskazuje jej miejsce na jednym z kamieni i objaśnia:

- Na tym kamieniu siedział olbrzym.

- Ach, nie mów mi o tym! I nie bałeś się?

- Nie.
- Tak, ale przecie opowiadałeś mi, że on ma tylko jedno oko. To na pewno zły duch.

Janek namyśla się.

- Nie, on miał dwoje oczu, ale na jedno był ślepy. Sam to mówił.
- Czy jeszcze co mówił? Albo lepiej wcale mi o nim nie opowiadaj.
- Zapytał mnie, czy chciałbym wstąpić do niego na służbę.
- Ale nie zgodziłeś się? Niech cię Bóg broni.
- Ano, nie dałem mu odpowiedzi odmownej:
- Oszalałeś? Chciałbyś być zamknięty w skale?
- Sam nie wiem. Na ziemi jest tak samo źle.

Milczenie.

- Odkąd przybyli chłopcy z miasta, jesteście z nimi tylko - rzekł.

Znowu milczenie. Janek mówi dalej:

- Gdyby chodziło o to, ażeby ciebie z łodzi wysadzić i na brzeg zanieść, to ja przecie jestem mocniejszy od nich wszystkich. Jestem pewien, że mógłbym cię nieść całą godzinę. Popatrz jeno:

Wziął ją w ramiona i w górę uniósł. Ona objęła jego szyję.

- Dostyc już, puść mnie.

Posadził ją z powrotem. Wiktoria zauważyła:

- Tak, ale Oton także jest mocny. On bił się już z dorosłymi.

Janek spytał niedowierzająco:

- Z dorosłymi?
- Tak, naprawdę. W mieście.

Milczenie. Janek zamyślił się.

- Dobrze więc, w takim razie skończyło się wszystko - przemówił wreszcie.
- Teraz już wiem, co zrobić.
- Co?
- Przystanę do olbrzyma.
- Ależ co znowu, tyś naprawdę zwariował! - krzyczy Wiktoria.

- Ach, mnie już wszystko obojętne. Zrobię to.

Wiktorcia rozmyśla nad jakimś wybiegiem.

- Tak, ale on już nie wróci?

- Wróci - odpowiada Janek.

- Tutaj? - zapytuje pośpiesznie Wiktorcia.

- Tak.

Wiktorcia, błada, zbliża się ku otworowi jaskini.

- Chodź, pójdziemy stąd.

- Nie ma co się spieszyć - mówi Janek, który również pobladł. - On wróci dopiero o północy.

Wiktorcia uspokaja się i zamierza ponownie zająć swe dawne miejsce.

Janekowi jednak trudno opanować nastrój, jaki sam wywołał, groza wyziera ku niemu z kątów jaskini, dlatego mówi:

- Jeśli koniecznie już chcesz stąd odejść, to pokażę ci kamień z twoim imieniem.

Wyczołgali się z jaskini i odszukali kamień. Widok kamienia napełnia Wiktorcię dumą i szczęściem. Janek zaś przejęty jest do głębi, mógłby płakać z nadmiaru wzruszenia.

- Kiedy mnie już tu nie będzie, pomyśl o mnie czasem, patrząc na ten kamień.

- Dobrze - odparła Wiktorcia. - Ale ty przecie wrócisz?

- Bóg jeden wie. Nie, pewnie już nigdy nie powrócę.

Wracają do domu. Janek jest bliski płaczu.

- Bywaj zdrów - odzywa się Wiktorcia.

- Odprowadzę cię jeszcze kawałek.

Jakże zimno wypowiedziała te słowa: „Bywaj zdrów”; brzmiało to tak, jakby chciała powiedzieć: „Im prędzej, tym lepiej”. Świadomość tego napełnia go goryczą i wywołuje gniew w zranionym sercu. Janek przeto zatrzymuje się nagle i mówi w szczerym oburzeniu:

- To jedno ci teraz powiem, Wiktorcio: nie znajdziesz już nikogo, kto by tak dobry był dla ciebie jak ja. Tyle tylko ci powiem.

- Tak, ale Oton też jest dla mnie dobry - sprzeciwiła się.

- I owszem, weź go sobie.

Idą dalej kilka kroków w milczeniu.

- Dam sobie sam radę. O to niech cię głowa nie boli. Jeszcze nie wiesz, jaka mnie czeka nagroda.

- Nie. A jaka?

- Połowę królestwa dostanę. To jedno.

- Co ty mówisz? Naprawdę?

- A potem dostanę księżniczkę.

Wiktoria stanęła jak wryta.

- To pewno nieprawda?

- Prawda, on mi to powiedział.

Milczenie. Wiktoria mówi cichutko, do siebie:

- Jak też ona wygląda?

- O, możesz być pewna, że ładniejszej nie ma na całym świecie.

Wiktoria pognębiona jest do szczętu.

- Czy ty się z nią ożenisz?

- Naturalnie, to nastąpi niezawodnie. - Ponieważ Wiktoria jest naprawdę poruszona, Janek dodaje: - Możliwe jednak, że kiedyś tu powrócę, urządzę małą wycieczkę na ziemię.

- Ale wtedy nie bierz jej z sobą - błaga. - Po co zresztą miałbyś ją tu sprowadzać?

- Owszem, mogę przybyć i bez niej.

- Przyrzekasz?

- Ach, naturalnie, mogę ci przyrzec. Lecz cóż ci w gruncie rzeczy na tym zależy!

- Nie mów tak, słyszysz - odpowiada Wiktoria. - Jestem przekonana, że ona nie będzie ciebie kochała tak jak ja.

Słodka rozkosz przenika jego młode serce. Ona zaś z radości i wstydu z powodu swych słów chciała się zapaść pod ziemię. Nie miał odwagi spojrzeć na nią, odwrócił wzrok. Potem podniósł z ziemi jakąś gałązkę, zębami z kory odarł i bił

się nią po dłoni. Z zakłopotania począł gwizdać.

- Tak, teraz pewnie będę już musiał pójść do domu - przemówił.

- W takim razie bywaj zdrów - odparła i podała mu rękę.

2.

Syn młynarza wyjechał z domu. Długo nie wracał, uczęszczał do szkoły i uczył się wiele. Rósł i męźniał, a górną jego wargę pokrywał już meszek. Do miasta było daleko, podróż tam i z powrotem kosztowna, a młynarz był bardzo oszczędny, dlatego Janek przebywał w mieście wiele lat bez przerwy. Przez cały czas uczył się.

Teraz jednak był już mężczyzną, miał lat osiemnaście czy dwadzieścia.

I oto pewnego popołudnia wiosennego wysiadł z pokładu parowca. Na wieży zamku powiewała flaga na powitanie syna, który tym samym statkiem wracał do domu na wakacje; przy pomoście czekał na niego powóz. Janek uklonił się dziadzi, dziadzi i Wiktorii. Wiktorii - jakże ona wyrosła! Nie odskłoniła się.

Przeto raz jeszcze zdjął czapkę i wtedy usłyszał, jak zapytała brata:

- Ditlef, któż to taki, co się nam kłania?

- To Janek - wyjaśnił brat. - Syn młynarza.

Jeszcze raz spojrzała na niego, teraz jednak wstydził się uklonić po raz trzeci.

Powóz ruszył.

Janek podążył ku domowi.

Boże wielki, jakże zabawna i mała była izba ojców. Schylić się musiał, żeby wejść w drzwi. Rodzice przepili do niego na powitanie. Owładnęło nim silne wzruszenie, wszystko tu było takie miłe, takie rozrzewniające. Ojciec i matka już posiwiali, a tacy dobrzy, tacy serdeczni, dłoń mu ściskają, szczerze radują się jego widokiem.

Tego samego wieczora zwiedził wszystko, w młynie był, przy kamieniołomie i przy sadzawkach rybnych, smętnie nasłuchiwał śpiewu znanych ptaków, zajętych właśnie budową gniazd na drzewach, a potem zboczył do wielkiego mrowiska w lesie. Mrówek już nie było; mrowisko zamarło. Gmerał w nim patykiem, ani śladu życia. Włócząc się po okolicy zauważył, że las dworski został srodze przeredzony.

- Jak zastałeś tu wszystko? - zapytał ojciec.

- A odnalazłeś też swoje dawne drozdy?

- Nie wszystko poznaję. Las przeredzony.

- To las dziedzica - odparł ojciec. - Nie nam liczyć jego drzewa. Każdemu może zabraknąć pieniędzy, a dziedzic potrzebuje ich dużo.

Dni mijały, dni spokojne, ciche, kochane, cudowne godziny samotności, pełne błogich wspomnień z lat dziecięcych, pełne poszeptów jakichś, nawołujących z powrotem do nieba i ziemi, do powietrza i do gór.

Kroczył drogą wiodącą do pałacu. Rano użądliła go osa i górną wargę miał nabrzmiałą; gdyby teraz kogo spotkał, oddałby ukłon nie zatrzymując się ani na chwilę. W parku pałacowym zauważył jakąś damę; mijając ją, ukłonił się nisko. Była to dziedziczka. Doznał znowu bicia serca, podobnie jak za dawnych czasów, kiedy przechodził koło pałacu. Wciąż jeszcze czuł respekt dla tego wielkiego domu, dla arystokratycznego rodu.

Poszedł drogą ku przystani.

Tam spotkał niespodzianie Ditlefa z Wiktorią. Było mu nieprzyjemnie; gotowi pomyśleć, iż szedł za nimi. Poza tym miał obrzękłą wargę.

Zwolnił więc kroku, nie wiedząc, czy ma iść dalej. Poszedł. Już z daleka się ukłonił i z czapką w ręce przeszedł obok nich. Odkłonili się milcząco, idąc wolnym krokiem. Wiktoria spojrzała mu prosto w oczy; twarz jej drgnęła lekko.

Janek szedł dalej drogą ku przystani; niepokój miotał, krok jego stał się nerwowy. Doprawdy, jakże ona wyrosła, toż ona już całkiem jest dorosła i piękniejsza niż dawniej. Brwi jej łączyły się niemal nad nosem w dwa subtelne aksamitne łuki. Oczy jej pociemniały, całkiem szafirowe.

W drodze powrotnej skręcił na ścieżkę wijącą się przez las, z dala od parku zamkowego: Niechaj nikt nie myśli, że specjalnie włązi paniczom w oczy. Wszedł na wzgórze, wyszukał większy głaz i usiadł na nim. Ptaki wyśpiewywały dziko, namiętnie, wabiły się i szukały wzajemnie, tam i sam wzlatywały z gałązeczka w dziobku. W powietrzu unosił się słodkawy zapach ziemi, zbutwiałych liści i drzew murszejących.

I znowu znalazł się na drodze Wiktorii, szła właśnie od strony przeciwnej, wprost ku niemu.

Porwała go bezsilna złość, chciałby w tej chwili znajdować się daleko stąd, jak najdalej; tym razem oczywiście musiała nabrać przeświadczenia, że ją tropił i szukał

z nią spotkania. Miałby jeszcze raz się kłaniać? A może by odwrócić się i patrzeć w inną stronę? Na domiar ta warga.

Gdy jednak się przybliżyła, wstał i zdjął czapkę. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Dobry wieczór - rzekła. - Witam w stronach rodzinnych.

Usta jej znowu z lekka zadrgały, ale opanowała się natychmiast i odzyskała spokój.

- Może się to wydać dziwne - powiedział - ale nie wiedziałem, że pójdziesz tędy.

- Nie, tego pan wiedzieć nie mógł - odparła.

- Ot, przysłała mi fantazja, żeby tędy wracać.

Ach! Toż on mówił do niej: „ty”.

- Jak długo zabawi pan teraz w domu?

- Do końca wakacji.

Odpowiadał z trudem, jakże nagle obcą przybrała dla niego maskę. Czemuż go zagadnęła?

- Ditlef opowiadał mi, że pan taki dzielny, że tak świetnie pan zdaje egzaminy.

Mówił też, że pan, panie Janie, wiersze pisze, prawda to?

Odwróciwszy się, odparł krótko:

- Tak, rozumie się. Czynią to wszyscy.

Teraz zapewne odejdzie, ponieważ umilkła.

- O, co mi się dziś przytrafiło - wskazał na usta. - Osa mnie użądliła i tak mnie przystroiła.

- Widocznie za długo pana tu nie było i osy już pana nie znają.

Obojętne jej było, że osa go oszpeciała, ot co. Stała naprzeciw niego i czerwoną parasolkę o złotej gałce obracała na ramieniu w tę i z powrotem, i nic poza tym jej nie obchodziło. A on ją przecież nieraz nosił na swych rękach.

- I ja nie poznaję os dzisiejszych - odparł. - Dawniej były mi przyjaciółkami.

Lecz ona zrozumiała ukrytą myśl jego słów i milczała. Mówił przeto dalej:

- Niczego tu już nie poznaję. Nawet las wycięty.

Lekkie drgnienie przemknęło po jej twarzy.

- A więc zachodzi może obawa, że pan nie będzie mógł tu tworzyć. Pomyśl pan tylko, gdybyś pan zamierzał kiedyś napisać jaki wiersz do mnie. Ale nie, cóż ja tu plotę! Z tego może się pan domyślić, jak mało się na tym znam.

Wbił oczy w ziemię, oburzony i milczący. Kpiła z niego, oczywiście, w sposób nader uprzejmy, dobierała słówek wyszukanych, obserwując spod oka,

jakie na nim wywierają wrażenie. Proszę bardzo! Czas swój trawił nie tylko na pisaniu wierszy, studiował, i to więcej niż wielu innych...

- Dobrze więc, zapewne spotkamy się jeszcze. Do widzenia.

Uchylił czapki, nie powiedziawszy ani słowa.

Gdybyż wiedziała, że wszystkie swe wiersze tworzył jedynie z myślą o niej, wszystkie, nawet ten „Do nocy” i ten „Do ducha trzęsawisk”. Lecz ona nie dowie się o tym nigdy.

W niedzielę przyszedł Ditlef, żeby go zabrać z sobą na wyspę. „Pewnie znowu mam być wioślarem” - pomyślał. Lecz poszedł. Nieliczni ludzie, ubrani odświętnie, przechadzali się po pomoście, poza tym panował spokój, a słońce przygrzewało mocno. Wtem zabrzmiały jakieś dźwięki z oddali, szły od strony morza, od dalekich wysp. Ku przystani płynął wielkim łukiem parowiec pocztowy, na pokładzie grała muzyka.

Janek odczepił łódź i zasiadł do wiosł. Był w nastroju niezwykłym, rozkołysanym tak jakby dzień ten, jasny, słoneczny, i owa muzyka ze statku utworzyły przed nim zasłonę z kwiatów i kłosów złocistych.

Ditlef stał na wybrzeżu, gapiąc się na ludzi i statek, jakby o świecie całym zapomniał. Dlaczego nie przychodzi? Janek pomyślał sobie: „Nie będę tu dłużej czekał, wysiądę i basta”. Zamierzał już przybić do brzegu, gdy wtem jakaś biel mignęła mu przed oczyma i z pluskiem wpadła w wodę. Z parowca, jako też z brzegu, dobiega gwałtowny krzyk, a mnóstwo rąk i oczu wskazuje miejsce, gdzie znika biel. Muzyka nagle ucichła.

Janek w mgnieniu oka znalazł się na miejscu wypadku. Działał zupełnie instynktownie, bez zastanowienia. Nie słyszał krzyku matki z pokładu: - Moja córka, moja córka! - i nie widział ludzi. Bez namysłu wyskoczył z łodzi i dał nurka.

Zniknął na chwilę, na minutę; widziano, jak morze kłębiło się w miejscu, gdzie nurkował, i rozumiano, że szuka. Przycichły jęki na statku. Wtem wypłynął nieco dalej, o kilka sążni od miejsca wypadku. Ozwały się znowu krzyki, nawoływania i szalone wymachiwania rękoma:

- Nie tam, to było tu, tutaj!

Zanurzył się znowu. I znowu mijała chwila długa, dręcząca, pełna nieprzerwanych skarg i lamentów kobiety i mężczyzny, załamujących ręce.

Tymczasem z pokładu zeskoczył ktoś inny, był to sternik, który zdjął kaftan i obuwie. Przeszukał dokładnie miejsce, gdzie dziewczę wpadło, i teraz wszyscy oczekiwali ratunku od niego.

I wtedy właśnie zauważono ponownie głowę Janka ponad powierzchnią, lecz

jeszcze dalej niż poprzednio, o wiele sążni dalej. Zgubił czapkę, głowa jego lśniła w słońcu niby łeb fokii. Okazało się, że z czymś walczył, płynął z trudem, w jednej ręce coś trzymał, niebawem uchwycił to zębami; była to ofiara nieszczęścia. Okrzyki podziwu powitały go z parowca i z brzegu, usłyszał je i sternik, wytknął głowę i rozglądał się.

Janek dotarł nareszcie do swojej łodzi, ułożył w niej dziewczę, po czym sam wszedł; wszystko to dokonywało się bez chwili namysłu. Ludzie widzieli, jak się nad dziewczęciem pochylił i rozerwał dosłownie sukienkę jej na plecach, potem chwycił

za wiosła i łódź pomknęła błyskawicznie ku parowcowi. Gdy ofiarę wciągnięto na pokład, z piersi wszystkich wybuchły gromkie radosne okrzyki na cześć wybawcy.

- Skąd pan wiedział, gdzie jej szukać?

- Znam dno - odparł. - I wiedziałem też, że tu jest prąd.

Jakiś pan przeciska się do balustrady parowca; blady jak śmierć, uśmiecha się w bolesnym wykrzywieniu ust, a na rzęsach jego migocą łzy.

- Chodź pan, proszę, na chwilę na górę - woła do Janka. - Pragnę panu podziękować. Tyle panu zawdzięczamy. Proszę, tylko na chwilę.

I pan ów wyrywa się znowu z ciżby otaczających go osób, blady i płaczący, i uśmiechnięty.

Spuszczają z parowca drabinę. Janek wchodzi na pokład.

Niedługo tam zabawił, podał jeno nazwisko swe i adres, ociekającego wodą przytuliła jakaś pani do piersi, a blady, nieprzytomny pan wcisnął mu do ręki zegarek. Janka wprowadzono do kajuty, gdzie dwu mężczyzn czyniło zabiegi koło ocalonej; orzekli: - Przychodzi do siebie, puls wraca! - Janek przyglądał się jasnowłosej dziewczynce w krótkiej sukience; sukienka była całkiem rozdarta. Potem ktoś włożył mu swój kapelusz na głowę, a następnie wprowadzono go.

Nie wiedział dokładnie, jak właściwie dostał się na ląd i kiedy wciągnął łódź na brzeg, słyszał jeno, jak jeszcze raz wzniesiono okrzyki wiwatów, i słyszał tusz kapeli okrętowej, podczas gdy parowiec z wolna odpływał. Fala rozkoszy przebiegła go słodkim dreszczem od głów do stóp; uśmiechał się, poruszał ustami, ale nie mówił nic.

- A więc figa z przejażdżki - Ditlef był zły.

Tymczasem nadeszła Wiktoria, przystąpiła do nich i wtrąciła porywczo:

- Nie pojmuje ciebie, tyś chyba oszalał! On musi iść do domu i zmienić

ubranie.

Janek biegł do domu, ile tylko tchu w piersi starczyło. Jeszcze brzmiały mu w uszach huczne wiwaty i muzyka i jakieś szalone, bezpamiętne podniecenie gnało go coraz dalej i dalej. Przebiegł koło młyna i drogą leśną pędził do kamieniołomu. Tu wyszukał sobie miejsce słoneczne. Z ubrania jego uniosła się para. Usiadł. Jakiś niepokój wariacki, pełen rozkoszy, podrywał go, więc znowu na nogi się zerwał i zataczał się dokoła jak pijany. Jakże przepelniony był szczęściem! Padł na kolana i we łzach dziękował Bogu za ten dzień. Ona stała tam na dole i słyszała okrzyki na jego cześć; ona też powiedziała, żeby poszedł do domu i przebrał się w suchą odzież.

Usiadł znowu i, porwany szczęsną radością, wybuchał kilkakrotnie głośnym śmiechem. Tak, była świadkiem jego czynu, a gdy wracał z topielicą w zębach, towarzyszył mu jej dumny wzrok. Wiktorio, Wiktorio! Wiedziałaż ona, jak bardzo jej był oddany w każdej minucie swego życia? Pragnął być sługą jej, niewolnikiem, pył z jej drogi pragnął zmiatać własnymi rękoma. I oba jej trzewiczki maleńkie pragnął

całować i zaprząć się do jej powozu, i drwa do jej pieca nakładać w dni chłodne.

Drzewem złożonym rozpalałby w piecu, Wiktorio!

Obejrzał się. Nikt go nie słyszał, był sam. W ręku trzymał cenny zegarek, który tykał i tykał.

- Dzięki, dzięki za ten piękny dzień! - Głaskał mech porosły na głazach i rozrzucone gałęzie. Wiktoria nie obdarzyła go uśmiechem, nic to; taki już był jej zwyczaj. Stała na moście, a lica jej lekko tylko się zaróżowiły. Może by przyjęła ten zegarek, gdyby był jej ofiarował?

Słońce zachodziło, nastawał chłód. Poczuł, że jest mokry. Pobiegł do domu lekki jak piórko.

W zamku bawiło towarzystwo letników, goście z miasta, muzyka i tańce. I z okrągłej wieży powiewała flaga przez cały tydzień, dniem i nocą.

A tu siano należało zwieźć, lecz konie zajęli weseli goście, przeto siano leżało w pokosach. A tam znów wielkie obszary łąk wcale kosą nie tknięte; parobków zajmowano do powożenia lub wiosłowania, a trawa wyległa i gniła.

A w żółtej sali wciąż grała muzyka...

W takim czasie stary młynarz zatrzymywał młyn i dom swój zamykał.

Zmądrzał; już dawniej zdarzało się, iż podochocone mieszcuchy gromadą wpadały do młyna i różne figle wyczyniały z jego worami żyta. Nic

dziwnego, noce były tak ciepłe i jasne, a wesołych pomysłów moc. Bywało, iż bogaty szambelan czasu swej młodości przyniósł do młyna własnoręcznie całe mrowisko w niecce i tam je rozsypał. Obecnie szambelan był w wieku statecznym; ale Oton, syn jego, przyjeżdżał także na zamek i zabawiał się cudacznie. Dużo się o nim słyszało...

Tętent kopyt końskich i nawoływania rozległy się po lesie. To młodzież cwałowała, a rozhukane konie zamkowe łśniły od potu. Zatrzymali się przed chatą młynarza, szpicrutami do drzwi zakołatali i chcieli wjechać do izby. Drzwi były bardzo niskie, a mimo to chcieli wjechać.

- Dzień dobry, dzień dobry! - wykrzykiwali. - Przyjechaliśmy do was z wizytą.

Młynarz uśmiechnął się pokornie na ten koncept. Zsiadli, przywiązali konie i młyn puścili w ruch.

- Mącznica próżna! - zawołał młynarz. - Zniszczycie mi cały młyn.

Ale nikt go nie słyszał w huczącym łoskocie.

- Janek! - krzyknął głośno w stronę łomu.

Janek przybiegł.

- Mącznicę na nic mi zetrą - krzyczał ojciec, wskazując na młyn.

Janek milcząc podszedł do towarzystwa. Był strasznie blady, a żyły wystąpiły mu na skroniach. Poznał Otona, syna szambelana, miał - na sobie mundur kadeta; oprócz niego było jeszcze dwóch innych. Jeden z nich uklonił się z uśmiechem, pragnąc snadź złagodzić wrażenie tego, co się stało.

Janek nie krzyczał, nie machał rękoma, jeno szedł prosto przed siebie. Szedł prosto na Otona. Lecz w tejże chwili ujrzał dwie amazonki nadążające z lasu, jedną z nich była Wiktoria. Ubrana w zielony strój, siedzi na siwej klaczy zamkowej. Nie zsiada, jeno z konia rozgląda się pytająco.

I Janek zmienia nagle kierunek, skręca w bok, wchodzi na tamę i otwiera śluzę; łoskot ucisza się powoli, młyn staje.

- Nie zatrzymuj go! - krzyczy Oton. - Czemu to robisz? Mówię ci, puść młyn.

- Czyś to ty puścił młyn? - spytała Wiktoria.

- A jakże - odparł ze śmiechem. - Co ma próżnować? Czemu nie ma być w ruchu?

- Bo próżny - odpowiada Janek ciężko dysząc i wpatruje się w niego. -

Rozumie pan? Młyn jest próżny.

- Był przecie próżny, jak słyszysz - powtarza Wiktoria.
- Skąd mogłem o tym wiedzieć? - odparł Oton ze śmiechem. - I czemu był próżny, pytam. Czy w młynie zabrakło ziarna?

- Wsiadaj! - przerwał mu jeden z kamratów, aby sprawę zakończyć.

Wsiedli. Jeden z nich przeproszał na odjezdnym.

Wiktoria odjeżdżała ostatnia. Ujechawszy jednak kawałek drogi, wróciła.

- Niech pan będzie tak łaskaw i przeprosi swego ojca - rzekła.

- Byłoby o wiele prostsze, gdyby pan kadet sam to uczynił - odparł Janek.

- Zapewne. Oczywiście i ja tak sędzę. Ale on tyle miewa pomysłów...

Janku, kiedyż właściwie widzieliśmy się ostatnim razem?

Spojrzał na nią i uszom własnym nie dowierzał. Zapomnieć by już miała ostatnią niedzielę; jego wielki dzień!

- Widziałem panią w niedzielę na pomoście - rzekł.

- Ach, prawda - rzekła pośpiesznie. - Pomyśl pan, co za szczęście, że pan pomógł sternikowi. Wszakże to pan znalazł dziewczynkę?

- Tak. Myśmy znaleźli dziewczę - odparł krótko i do żywego dotknięty.

- Lub czy też może - ciągnęła dalej, jakby sobie przypominając - czy też może było tak, że pan sam... Zresztą, wszystko jedno. Tak, a więc mam nadzieję, że pan pozdrowi swego ojca i przeprosi go. Dobranoc.

Skinęła z uśmiechem i ściągnęła cugle.

Gdy Wiktoria zniknęła w oddali, Janek powłókł się za nią do lasu, gniewny i niezadowolony. Ujrzał Wiktorię samotną pod drzewem. Wsparta o nie, łkała.

Czyżby z konia spadła? Czyżby się skaleczyła?

Podszedł do niej i spytał:

- Czy przytrafiło się pani co złego?

Postąpiła krok naprzód, rozwarła ramiona i patrzyła na niego rozpromieniona. Potem zatrzymała się, opuściła ręce i odpowiedziała:

- Nie, nie spotkało mnie nic złego; zsiadłam i puściłam konia luzem...

Janku, pan nie powinien tak na mnie patrzeć. Stał pan nad stawem i wpatrywał się we mnie. Czego pan chce?

- Czego ja chcę? - wyjąkał. - Nie rozumiem...

- Taki pan potężny - rzekła i nagle ręką objęła jego rękę. - Jakże szeroką ma pan rękę w przegubie. I taki pan ogorzały, jak z brązu...

Wykonał ruch, jakby chciał uchwycić jej rękę. Wtedy ujęła swą suknię i rzekła:

- Nie, nic mi się nie stało. Pragnęłam tylko przejść się do domu pieszo.

Dobranoc.

3.

Janek powrócił do miasta. Mijały lata i dni, długi, ożywiony okres pracy i marzeń, studiów o poezji. Robił duże postępy i miał szczęście; stworzył wiersz o Esterze, „dziewczęciu żydowskim, co królową Persów zostało”, wiersz, który wydrukowano i za który wypłacono mu honorarium. Inny wiersz, „Manowce miłości”, włożony w usta mnicha Vendta, wsławił jego nazwisko.

Tak, bo czymże jest miłość? Wietrzykiem, co szeleści pośród róż, a może błędnym ognikiem we krwi. Miłość - to muzyka piekielnie gorąca, która nawet serca starców porywa w wir taneczny. To jakby stokrotka, co o świcie kwiat swój szeroko rozwiera, i jakby anemon, co pod lada powiewem się zamyka, a po dotknięciu umiera.

Taka bywa miłość.

Wybrańca swego może zniszczyć, może go znowu podnieść i znowu piętnować; dziś może mnie kochać, jutro ciebie, a nocy następnej jego - tak zmienna jest. Lecz może być i stała jak pieczęć nierozzerwalna i płonąć nie ugaszona aż do śmierci - tak wieczna jest. Jakaż więc jest miłość?

O, miłość jest jak noc letnia z niebem gwiazdzistym i wonnością ziemi.

Czemuż jednak nakłania młodzieńca do kroczenia drogami skrytymi, czemuż wywołuje udrękę w osamotnionej komorze starca? Ach, miłość zamienia serce człowieka w grzybnię, w ogród bujny i bezwstydnym, w którym plenią się grzyby tajemnicze i zuchwałe.

Czyż nie pobudza ona mnicha do zakradania się nocą do cudzych ogrodów i przyciskania oczu do okien alkowy? I czyż nie oszałamia mniszki, i nie mroczy rozumu księżniczkom? Pod jej nakazem król głowę schyla tak nisko, że włosom swym pył przydrożny zmiata i słowa przy tym bełkoce sprośne, i śmieje się, i język wywiesza.

Taka bywa miłość.

Ależ nie, nie, bywa ona także całkiem inna i nic na świecie nie może się z nią równać. W noc wiosenną zstępuje na ziemię w chwili, kiedy młodzieniec

dwoje oczu ujrzał - dwoje oczu. Zdrętwiał i patrzy. Usta czyjeś pocałował i wtedy zdało się mu, jak gdyby dwa światła spotkały się w sercu jego, słońce i gwiazda. Padł w czyjeś objęcia i utracił świadomość istnienia świata.

Miłość - to pierwsze słowo Boga, myśl pierwsza, jaka przemknęła mu przez mózg. Kiedy rzekł: - Niech się stanie Światło! - wtedy stała się Miłość. I wszystko, co stworzył, było doskonałe, i niczego już nie chciał przetwarzać. Miłość stała się początkiem świata i władczynią świata; atoli wszystkie jej drogi są pełne kwiatów i krwi, kwiatów i krwi.

Dzień wrześniowy.

Owa oddalona ulica była miejscem jego przechadzek, włóczył się po niej tam i z powrotem, niby we własnym pokoju, włóczył się po niej chętnie, ponieważ nie spotykał tam nikogo i ponieważ po obu jej stronach ciągnęły się ogrody, których drzewa jaśniały przepychem liści czerwonych i złotych.

Czego w tych stronach szuka Wiktoria? Dokąd dąży tędy właśnie? Nie mylił się, to była ona i ona też prawdopodobnie przechodziła tędy wczoraj, w chwili kiedy patrzył przez okno.

Serce mu biło gwałtownie. Wiedział, że Wiktoria bawi w mieście, słyszał o tym, lecz ona obracała się w sferze; do której syn młynarza się nie zbliżał. Nawet z Ditlefem nie utrzymywał stosunków.

Uzbroił się w odwagę i poszedł naprzeciw niej. Czyżby go nie poznała?

Poważna i zamyślona, szła z dumnie wzniesioną głową.

Uklonił się.

- Dzień dobry - odparła głosem ściszym. Nie okazała najmniejszej chęci zatrzymania się, więc i on minął ją milcząco. Nogi ugiwały się pod nim. Doszedł do końca ulicy, zawrócił wedle zwyczaju. „Będę patrzył na bruk i oczu wcale nie podniosę”, pomyślał. Zaledwie jednak uszedł dziesięć kroków, spojrzał przed siebie.

Stała przed jakimś oknem sklepowym.

Czy miałyby zemknąć w boczną uliczkę? Czemu ona tam stoi? Nędzne to było okno, okienko małej sklepiczyny, w którym widniało kilka kawałków szarego mydła, słoje z krupami i kilka arkuszy z ostemplowanymi znaczkami zagranicznymi.

Mógłby pójść jeszcze z dziesięć kroków, a potem zawrócić.

Wtem spojrzała na niego i niespodziewanie podążyła znowu wprost ku niemu.

Szła szybko, jakby dla dodania sobie odwagi, a gdy zaczęła mówić, oddychała z trudem i, uśmiechała się nerwowo.

- Dzień dobry. Jak dobrze, że pana spotykam.

Boże wielki, co się stało z jego sercem; nie biło już, jeno drżało. Chciał przemówić - nie mógł, poruszał tylko ustami. Zapach upojny płynął od jej szat, od żółtej sukni, a może też z ust jej ulatał. Nie widział w tej chwili twarzy Wiktorii, lecz poznawał delikatne jej ramiona i widział długą, wąską rękę na gałce parasolki. Była to prawa ręka. Na palcu błyszczał pierścionek. W pierwszej chwili nie zastanawiał się nad tym i nie odczuwał nieszczęścia. Jakże cudna była ta ręka.

- Cały tydzień już bawię w mieście - ciągnęła dalej - i przez cały czas nie spotkałam pana ani razu. Chociaż nie, raz widziałam pana na ulicy, ktoś zwrócił mi uwagę, że to pan. Tak pan urósł.

- Wiedziałem - bąknął - że pani jest w mieście. Czy pani długo tu jeszcze zabawi?

- Nie, niedługo. Za kilka dni wracam do domu.

- Wdzięczny jestem za danie mi możliwości przywitania się z panią.

Milczenie.

- Tak, trzeba panu zresztą wiedzieć, że zabłądziłam - rozpoczęła na nowo.

- Mieszkam u szambelanostwa. Jak ja się tam dostanę?

- Jeśli pani pozwoli, odprowadzę panią.

Poszli. - Czy Oton w domu? - Zapytał, aby coś powiedzieć:

- Tak, w domu - odparła krótko.

Z pobliskiej bramy wyłoniło się nagle kilku robotników, którzy dźwigając fortepian, zatarasowali przejście na chodniku. Wiktoria cofnęła się na lewo i całym ciężarem oparła się o swego towarzysza. Janek spojrzał na nią.

- Przepraszam pana rzekła.

Dreszcz rozkoszy przebiegł go pod wpływem tego dotknięcia, oddech jej owionął na chwilę jego policzki.

- Jak widzę, ma pani pierścionek na ręku - rzekł. I uśmiechnął się przy tym, i silił się na ton obojętności. - Czy wolno może powinszować?

Co też ona odpowie? Nie patrzył na nią, lecz wstrzymał oddech w napięciu oczekiwania.

- A pan? - odparła. - Pan nie posiada jeszcze żadnego pierścionka? A więc jeszcze nie? Ktoś naprawdę opowiadał mi... Obecnie tak wiele się o panu mówi, nawet w gazetach piszą o panu.

- Napisałem kilka wierszy - rzekł. - Ale pani zapewne ich nie widziała.

- Nie byłaż to cała książka? Mam na myśli...

- Owszem, była i książeczka.

Zbliżyli się do małego skweru; Wiktorii widocznie się nie śpieszyło, jakkolwiek była w drodze do domu szambelanostwa. Usiadła na pobliskiej ławce; on stał przed nią.

- Siadaj pan także. - Podała mu rękę.

I dopiero wtedy puściła jego rękę, gdy usiadł.

„Teraz albo nigdy!” - pomyślał. Usiłował uderzyć znowu w ton żartobliwy i obojętny, uśmiechał się i spoglądał w górę. Nuże!

- Pani jest więc narzeczoną i nie chce nawet przyznać się do tego przede mną.

Wszakże tam w wiosce jestem pani sąsiadem.

- Nie o tym chciałam dziś z panem mówić - odparła po namyśle.

Spoważniał nagle i szepnął:

- Tak, tak, mimo wszystko pojmuję doskonale.

Milczenie.

Po chwili zaczął na nowo:

- Nie łudziłem się, oczywiście, ani przez chwilę, że wszystko na nic... tak, że nie będę tym, który... Byłem wszakże tylko synem młynarza, a pani...

Oczywiście jest tak. I zgoła nie pojmuję, jakim prawem ja tu w tej chwili siedzę obok pani. Stać powinienem przed panią albo klęczeć u stóp pani. To byłoby jedynie właściwe. Ale jest tak, jakoby... I wszystkie te lata mej nieobecności zrobiły także swoje. Zdaje się, że obecnie mam więcej odwagi. Rozumiem przecie, że nie jestem już dzieckiem, a także, że nie może mnie pani wtrącić do więzienia, chociażby pani nawet chciała.

Dlatego mam odwagę powiedzieć to pani. Ale nie powinna pani gniewać się na mnie z tego powodu; ot, lepiej zamilknę.

- Nie, mów pan dalej. Powiedz pan wszystko, co pan chciał powiedzieć.

- Naprawdę? Wszystko, co chciałem? I pierścionek nie mógłby mi niczego zabronić?

- Nie - odparła cicho. - On panu niczego nie zabrania.

- Jak to? Jakież więc jego znaczenie? Niechże Bóg panią błogosławi, Wiktorio, czy ja się nie mylę? - Zerwał się z miejsca i pochylił się, aby w twarz jej spojrzeć. -

Czy pierścionek jest naprawdę bez znaczenia?

- Niechże pan siada.

- Och, gdyby pani to odczuć mogła, jak ja o pani myślałem; Boże wielki, inna myśl nie miała w ogóle dostępu do mego serca! Spośród wszystkich, których widziałem, spośród wszystkich, których znałem, pani była na całym świecie człowiekiem jedynym. Nie umiałem myśleć o niczym innym, jak tylko: Wiktoria jest najpiękniejsza, najwspanialsza i ja znam ją! Panna Wiktoria, myślałem zawsze. O, zrozumiałem już, że nikt nie był pani bardziej obcy niż ja; ale wiedziałem o pani... tak, nie było to dla mnie wcale błahostką... oraz że pani tam żyje i czasami może myśli o mnie. Naturalnie pani o mnie nie pamiętała; ja często jednak wieczorami siedziałem w mym krześle i myślałem, że pani przecież czasami mnie sobie przypomni. I wtedy, czy pani uwierzy, niebo się przede mną otwierało; i wtedy pisałem wiersze do pani, i za wszystko, co posiadałem, kupowałem kwiaty dla pani, przynosiłem je do domu i ustawiałem w wazoniku. Wszystkie moje wiersze pisałem do pani i niewiele jest takich, których pani nie poświęciłem, i tych nie drukowałem.

Ale pani zapewne tych drukowanych także nie czytała. Teraz zacząłem pisać dużą książkę. Ach, Boże mój, jakże wdzięczny pani jestem, gdyż każdy mój nerw tak wypełniony jest panią i to jest radość moja jedyna. Ustawicznie słyszałem lub spostrzegałem coś, co mi przypominało panią, w ciągu całego dnia, a także wśród nocy. Imię pani wypisałem na suficie, leżąc odczytywałem je i pieściłem się nim; służąca jednak, która u mnie sprząta, nie widzi go, ponieważ wypisałem je literkami tak drobnymi, ażeby dostrzegalne było jedynie dla mnie. W tym ukrywa się dla mnie pewna radość.

Odwróciła się od niego, rozpięła nieco bluzkę i wyjęła jakiś świstek.

- Spójrz pan tu - powiedziała, ciężko dysząc. - Wycięłam to i schowałam. Nie potrzebuję ukrywać przed panem, że odczytuję to każdego wieczoru. Pierwszy zwrócił mi na to uwagę ojciec i wtedy przystąpiłam do okna, i przeczytałam. „Gdzie to jest? Nie mogę znaleźć?” - powiedziałam wtedy do ojca, pozornie na innej szukając stronie. Ale ja przedtem już znalazłam i przeczytałam. I tak bardzo byłam szczęśliwa.

Papier przepojony był zapachem jej piersi; sama go rozłożyła i pokazała mu jeden z pierwszych jego wierszy, mały wierszyk do amazonki na białym koniu. Było to naiwne, gwałtowne wyznanie serca, wybuch niepohamowany,

który z każdego słowa wystrzelał jakby zapalające się gwiazdy.

- Tak - odrzekł - to ja pisałem. Ale tak dawno już; było to pewnej nocy... przed myimi oknami topole szeleściły tak mocno i wtedy to napisałem. Czy pani zamierza to nadal przechowywać? Dzięki ci, pani! Doprawdy, pani chowa to z powrotem!

Ach! - zawołał w uniesieniu, a głos jego brzmiał całkiem cicho - pomyśleć, że siedzi pani przy mnie. Ramię pani czuję przy swoim ramieniu, tyle ciepła płynie od pani.

Jakże często, gdy byłem sam i myślałem o pani, przeszywał mnie chłód; teraz jednak odczuwam ciepło. Za ostatniej mej bytności w domu podziwiałem piękność pani, lecz teraz jest pani jeszcze piękniejsza. Te oczy i brwi, ten uśmiech pani... nie, wcale już nie wiem, co mówię.

Z uśmiechem przyglądała mu się spod przymkniętych powiek. Ciemny błękit jej oczu promieniował jakimś gorącym blaskiem. Zdawała się doznawać największego szczęścia i bezwiednym ruchem ręki sięgnęła ku niemu.

- Dziękuję panu - rzekła.

- O nie, Wiktorio, pozwól mi pani - odparł. Cała dusza jego rwała się do niej i pragnął powiedzieć więcej, więcej powiedzieć; ale były to tylko wybuchy chaotyczne, był jakby pijany. - Tak, ależ Wiktorio, jeżeli mnie pani cokolwiek lubi... ja nie wiem, niech pani jednak powie, że mnie lubi, nawet chociażby tak nie było. Bądź

pani taka dobra! Ach, pragnąłem pani przyrzec, że ze mnie coś będzie, coś wielkiego, prawie niesłychanie wielkiego. Pani nawet nie przeczuwa, co by ze mnie mogło być; czasami rozmyślam o tym i wiem, że przepełniają mnie czyny nie spełnione.

Niekiedy mnie wręcz rozsadzają. W nocy biegam po moim pokoju krokiem pijanym tam i z powrotem, ponieważ kłębią się we mnie najróżniejsze historie. W pokoju sąsiednim spoczywa człowiek, który nie może zasnąć, przeto puka w ścianę. O

świcie wchodzi do mnie i jest wściekły. Nic to, nie zwracam na niego uwagi, bo oto tak długo myślałem o pani, aż uwierzyłem, że pani jest przy mnie. Podchodzę do okna i śpiewam, jasność dnia się budzi. A za oknem szumią topole. „Dobranoc!” -

wołam do wstającego dnia. I tym samym mam na myśli panią. „Dobranoc, niechaj Bóg ją błogosławi!” Po czym udaję się na spoczynek. Tak dzieje się co noc. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że pani jest tak piękna. Taką właśnie pragnę panią zachować teraz w swych wspomnieniach, gdy pani

odejdzie; taką, jaką pani jest teraz. Będę panią widział przed sobą tak wyraźnie...

- Czy pan nie wybiera się do domu?

- Nie, mam dużo pracy. Albo owszem, pojedę. Pojadę teraz. Mam jeszcze dużo do zrobienia, ale uczynię wszystko, co w ludzkiej mocy. Czy i teraz jeszcze odbywa pani tam swoje wędrówki po ogrodzie? A wieczorami udaje się pani niekiedy na dalsze przechadzki? Wtedy mógłbym panią ujrzeć, mógłbym może ukłonić się, więcej przecie nie pragnę. Ale jeśli mnie pani bodaj cokolwieczek lubi, jeśli widok mój nie sprawia pani przykrości, proszę powiedzieć... i nie poskąpić mi tej radości, Wiktorio... Czy pani wiadomo, że istnieje taka palma, która raz tylko zakwita w swym życiu, a mimo to żyje siedemdziesiąt lat? Nazywa się talipot.

Kwitnie ona raz tylko jedyny. Tak oto kwitnę ja teraz. Tak, postaram się o pieniądze i pojedę do domu. Sprzedam wszystko, com napisał; pracuję nad wielką książką, jutro sprzedam wszystko, co gotowe. Dostanę za to dużo. Chciałaby pani, żebym pojechał

do domu?

- Tak.

- Dzięki ci, pani, dzięki! Przebacz mi, pani, jeśli spodziewam się zbyt wiele, ale to tak wspaniale spodziewać się niesłychanie wiele. Dzisiejszy dzień zaliczam do najszczęśliwszych, jakie przeżyłem kiedykolwiek.

Zdjął kapelusz i położył obok siebie.

Wiktorija obejrzała się. Jakaś dama szła ulicą z jednej strony, a dalej, z przeciwnej strony, kobiecina z koszem. Wiktorię ogarnął niepokój, spojrzała na zegarek.

- Czy pani musi już odejść? - zapytał. - Niechże mi pani coś powie przed rozstaniem, niechże usłyszę z ust pani, że... Kocham panią i to mówię pani teraz otwarcie. Od pani odpowiedzi będzie zależało, czy ja... Pani owładnęła mną w zupełności: Jakaż będzie odpowiedź pani?

Milczenie.

Zwiesił głowę.

- Nie, nie odpowiadaj, pani! - prosił.

- Nie tutaj - odparła. - Uczynię to w domu.

Poszli.

- Mówią, że pan ożeni się z ową dziewczynką, którą pan niegdyś uratował;

jakże jej na imię?

- Pani ma na myśli Kamilę?

- Tak. Kamila Sejer. Czy pan się z nią ożeni?

- Czemu pani pyta o to? Ona przecie jest jeszcze dzieckiem. Byłem w ich domu, dom okazały i bogaty, pałac taki jak u pani; bywałem tam często. Nie, ona jest jeszcze dzieckiem.

- Ma już piętnaście lat. Poznałam ją, byliśmy razem w jednym towarzystwie. Byłam nią zachwycona. Jest po prostu czarująca!

- Nie ożenię się z nią - rzekł.

- A więc... więc nie.

Spojrzał na nią. Twarz mu lekko zadrgała.

- Ale czemu mi pani teraz o tym wspomina?

Czy może w celu zwrócenia mej uwagi na inną?

Przyspieszyła kroku nie odpowiadając. Znaleźli się przed domem szambelana. Chwyciła dłoń jego i wciągnęła go przez bramę na schody.

- Wszak ja tam nie pójdę - rzekł zdziwiony.

Nacisnęła dzwonek i zwróciła się do niego, a pierś jej falowała.

- Kocham pana - szepnęła. - Rozumie pan to? Pana jednego tylko kocham.

Nagle zbiegła schodami na dół jak szalona, ciągnąc go za sobą, objęła go swymi ramionami i całowała go. I dygotała cała.

- Tylko pana jednego kocham - powtarzała zadyszana.

Na górze tymczasem otwarto drzwi. Oderwała się od niego i pobiegła na górę.

4.

Ciemnie nocy pierzchają, szarzeje dzień, niebieskawo, rozedrgany poranek wrześnieowy.

W topolach w ogrodzie świszczą i szumi. Jakieś okno się otwiera, mężczyzna jakiś się wychyla i śpiewa. Jest bez marynarki, wychyla się i patrzy na świat, jakby pijany był szczęściem.

Nagle odwraca się i spogląda ku drzwiom pokoju; ktoś do niego zapukał.

Woła więc:

- Proszę!

Do pokoju wchodzi jakiś mężczyzna.

- Dzień dobry! - woła do wchodzącego.

Starszy człowiek, blady i wściekły, w ręku trzyma lampę, bo w mieszkaniu jeszcze ciemno.

- Radziłbym panu jeszcze raz, panie Moller, panie Janie Moller, żeby się pan nad tym zastanowił, czy to jest słuszne i właściwe - wyjąkał gość.

- Nie - odparł Janek. - Ma pan zupełną słuszość. Pisałem coś, co mi tak samo z siebie przyszło do głowy, o, patrz pan, wszystko to napisałem dziś, była to noc owocna. Ale teraz już skończyłem. Otworzyłem tylko okno i nuciłem.

- Pan ryczał - wtrącił gość. - Był to śpiew najgłośniejszy, jaki kiedykolwiek słyszałem, rozumiesz pan. A w dodatku jest to noc.

Janek sięgnął po swe papiery na stole i wziął garść kartek większych i mniejszych.

- Spójrz pan tylko! - zawołał. - Zapewniam pana, że nigdy jeszcze nie szło mi tak dobrze. Było to coś jakby długa błyskawica. Kiedyś widziałem piorun, który leciał wzdłuż drutu telegraficznego, Boże miłosierny, wyglądało to jak ognisty pióropusz. Tak paliło się dziś we mnie. Co mam uczynić? Nie przypuszczam, żeby pan się na mnie jeszcze gniewał, usłyszawszy teraz, jak się rzecz miała. Siedziałem tu i pisałem, rozumie pan, nawet się nie ruszyłem; pamiętałem o panu i zachowywałem się zupełnie cicho. Ale potem nagle nadeszła chwila, kiedy zapomniałem o świecie całym, serce chciało wyskoczyć ze mnie, pierś chciało mi rozsadzić; być może, że zerwałem się wtedy z miejsca, raz i drugi w ciągu nocy, i przeszedłem się kilka razy po pokoju. Być może, ale ja byłem tak szczęśliwy.

- W nocy nie przeszkadzał mi pan tak bardzo - odparł gość. - Ale to po prostu nie do zniesienia, że pan teraz właśnie otwiera okna i ryczy.

- Istotnie. Tak, to jest nie do zniesienia. Ale przecież wytłumaczyłem panu wszystko. Trzeba panu wiedzieć, że miałem dziś noc niezwykłą, jedyną w życiu.

Wczoraj doczekałem się czegoś. Idę ulicą i spotykam moje szczęście, ach, słuchajże mnie pan, spotykam gwiazdę moją i moje szczęście. Słuchaj pan, i potem mnie pocałowała. Usta jej takie czerwone, a ja kocham ją, pocałowała mnie i upoiła mnie.

Czy panu dygotały kiedy tak wargi, żebyś aż mówić nie mógł? Ja mówić nie mogłem. Serce moje rozdygotało całe ciało. Pobiegłem do domu i zasnąłem; siedziałem tu, na tym krześle i zasnąłem. Zbudziłem się wieczorem. Nastrój niezwykły rozpierał mą duszę, zacząłem pisać. Co pisałem? Oto to!

Opanował mnie jakiś wyjątkowy, wspaniały lot myśli, podwoje nieba rozwarły się nade mną, był to dla duszy mojej jakoby przesycony słońcem dzień lata, sam anioł podawał mi wino, wino mocne i upojne, a ja piłem je z czarki z granatu. Czyż słyszeć mogłem uderzenia zegara? Czyż mogłem być zauważyć, że lampa gaśnie? Daj Boże, żeby pan to zrozumiał! Wszystko przeżywałem po raz wtóry, szedłem znowu ulicą z umiłowaną moją, a wszyscy oglądali się za nią. Chodziliśmy po parku, spotkaliśmy króla, kapeluszem swym dotknąłem niemal ziemi z nadmiaru radości i król za nią się obejrzał, za moją umiłowaną, taka bowiem wspaniała jest i piękna. Poszliśmy znowu do miasta i wszystkie dzieci szkolne przystawały i oglądały się za nią, jest bowiem młoda i ubiera się w jasne suknie. A kiedy zaszliśmy przed dom czerwony, kamienny, weszliśmy do środka. Wszedłem za nią na schody i chciałem uklęknąć przed nią. I wtedy zarzuciła na mnie swe ramiona i całowała mnie. To spotkało mnie wczoraj wieczorem, nie dawniej. Gdyby pan chciał wiedzieć, co napisałem, to wiedz, że to, co napisałem, jest jednym jedynym nieprzerwanym hymnem na cześć radości, na cześć szczęścia. Było to, jak gdyby naprzeciw mnie spoczywało nagie szczęście, z szyją smukłą i roześmianą twarzą, i zamierzało rzucić się w moje objęcia.

- Dobrze, dobrze, ale doprawdy mam już dosyć tej pańskiej gadaniny - przerwał sąsiad gniewnie, lecz zupełnie zrezygnowany. - Zaznaczam, że zwróciłem dziś panu uwagę nieodwołalnie po raz ostatni.

Janek zatrzymuje go u drzwi.

- Zaczekajże pan chwileczkę. Ach, powinien pan być widzieć, jak przed chwilą coś niby promyk słoneczny przemknęło po pańskiej twarzy. Dostrzegłem to właśnie, gdy się pan odwracał; była to lampa, która na czoło pańskie rzuciła jaśń słoneczną.

Pan nie był już wtedy tak rozgoryczony, widziałem to. Otworzyłem okno, tak jest, i śpiewałem za głośno. Czułem wspólnotę ze wszystkimi ludźmi. Zdarza się czasami, że traci się rozum. Powinienem być mieć na uwadze, że pan jeszcze śpi...

- Całe miasto śpi jeszcze.

- Tak, jeszcze wcześniej. Pragnąłbym panu coś ofiarować. Przyjmie pan to ode mnie? Ze szczerego srebra, otrzymałem w podarku od pewnej dziewczynki, którą niegdyś wyratowałem. Proszę, weź pan to. Pomieści dwadzieścia papierosów. Nie chce pan? Ach tak, pan nie pali. Czy jutro będę mógł pana odwiedzić i przeprosić za dzisiejszą noc? Pragnąłbym bardzo coś uczynić, przebłagać pana...

- Dobranoc.

- Dobrej nocy. Teraz już na pewno położę się spać. Przysięgam. Nie usłyszysz pan z mego pokoju najłżejszego szelestu. Poprawię się.

Sąsiad wyszedł.

Nagle Janek otworzył drzwi ponownie i dodał:

- Zapomniałem powiedzieć, że wyjeżdżam. Nie będę już przeszkadzał, jutro wyjeżdżam.

Nie wyjechał. Różne sprawy zatrzymały go; miał do załatwienia jeszcze to i owo, zakupy, płacenie długów. Minął poranek, nadszedł wieczór. Błąkał się tu i ówdzie jakby nieprzytomny.

W końcu zadzwonił do szambelanostwa. Czy Wiktoria jest w domu?

Wiktoria wyszła po sprawunki.

Objaśnia, że pochodzą z tej samej miejscowości, Wiktoria i on, że chciał ją tylko pozdrowić, że chciał pozwolić sobie, gdyby ją zastał, złożyć jej swoje uszanowanie. Chętnie zabrałby jakie zlecenie do domu. To wszystko.

Wyszedł na miasto. Może ją spotka, może ujrzy ją w jakim powozie. Włóczył się aż do wieczora. Nareszcie zauważył ją przed teatrem, uśmiechnął się i ukłonił.

Odkłoniła się. Chciał przystąpić do niej, dzieliło go kilka zaledwie kroków, gdy wtem spostrzegł, że nie jest sama. Przy niej stał Oton, syn szambelana. Był w mundurze porucznika.

Janek pomyślał: „Teraz może skinie na mnie, da mi jaki znak oczyma?” Ona jednak wbiegła do teatru, zaczerwieniona, ze spuszczoną głową, jak gdyby pragnęła się ukryć.

Może będzie mógł ją zobaczyć w teatrze? Kupił bilet i wszedł do środka.

Znał łożę szambelanostwa; rzecz naturalna, że tacy bogacze mają swoją stałą łożę. Siedziała tam w całej swej krasie i rozglądała się dokoła. Czy spojrzała na niego? Ani razu!

Po skończonym akcie czatował na nią w westybulu. Ponownie się ukłonił; spojrzała nieco zdziwiona i kiwnęła głową.

- Wody możesz tu dostać - powiedział Oton i wskazał na jedne z drzwi.

Przeszli mimo niego. Janek patrzył za nimi. Dziwaczny mrok przysłonił mu oczy. Wszyscy tu gniewali się na niego i potrącali go; przeproszał, lecz z miejsca się nie ruszał. Aż wreszcie znikła.

Kiedy wracała, skłonił się nisko i rzekł:

- Pani wybaczy...

- To Janek - wyjaśniła. - Poznajesz go?

Oton skinął potwierdzająco i przyglądał mu się zmrużonymi oczyma.

- Pan zapewne pragnąłby się dowiedzieć, co w domu słyhać - ciągnęła dalej, a twarz jej była piękna i spokojna. - Doprawdy, nie umiem panu powiedzieć, ale przypuszczam, że wszystko dobrze się wie. Pozdrowię młynarzów od pana.

- Dziękuję. Czy pani wkrótce wyjeżdża?

- W najbliższych dniach. Owszem, zawiozę pozdrowienia od pana.

Skinęła głową i poszła.

Janek znowu patrzył za nią, dopóki nie znikła mu sprzed oczu, po czym wyszedł z teatru. Wędrówka jak wieczność długa, ociążała, smutna włóczęga ulicami tam i z powrotem, miała zabić czas oczekiwania. O godzinie dziesiątej zatrzymał się przed domem szambelana i czekał. Teraz skończyło się przedstawienie, ona wróci.

Może będzie mógł uchylić kapelusza, otworzyć drzwiczki powozu i ukłonić się aż do ziemi.

Nareszcie, po upływie pół godziny, wracała. Czy miał stanąć przy bramie i przypomnieć się raz jeszcze? Słyszał, jak otwarto wielką bramę, jak powóz na dziedziniec się wtoczył i jak bramę zatrzęsnięto. Wtedy odwrócił się.

Teraz zaczął przechadzać się przed domem tam i z powrotem, tam i z powrotem, nie oczekując już nikogo i w ogóle bez celu. Nagle - po godzinnej włóczędze - otwarły się drzwi domu i na ulicę wybiegła Wiktoria. Bez kapelusza, a tylko w szalu zarzuconym na ramiona. Uśmiecha się lęklawie i zmieszana i pyta się, aby coś powiedzieć:

- Pan tutaj chodzi i rozmyśla?

- Nie - odparł. - Czy rozmyślam? Ja tylko tu chodzę.

- Widziałam pana, jak się pan tu przechadzał, chciałam więc... Widziałam pana z mego okna. Muszę zaraz wracać.

- Dziękuję ci, pani, żeś przyszła. Przed chwilą jeszcze byłem tak zrozpaczony, lecz teraz minęło już. Wybacz mi, Wiktorio, że zaczepiłem panią w teatrze; niestety, i tu, w domu szambelana, zapytywałem o panią; pragnąłem zobaczyć się z panią i dowiedzieć się, co zamierzasz, jakie są pani zamiary.

- Wszakże pan wie, już wszystko - odparła.

- Przedwczoraj powiedziałam panu tak wiele, że pan nie mógł mnie nie

zrozumieć.

- Ale wciąż dręczy mię ta sama niepewność.

- Nie mówmy więcej o tym. Powiedziałam panu dużo, aż nadto dużo i teraz sprawia panu przykrość. Kocham pana, nie kłamałam przedwczoraj i dziś także nie kłamię; ale istnieją przyczyny wielorakie, które nas dzielą. Ja pana bardzo lubię, chętnie z panem rozmawiam, chętniej niż z kimkolwiek innym, ale... Tak, nie mogę zatrzymywać się tu dłużej, mogliby nas z okien zobaczyć. Janku, wiele jest powodów, których pan nie zna, dlatego nie nalegaj pan, ażebym powiedziała, co myślę. Zastanawiałam się nad tym dzień i noc; jest tak, jak powiedziałam. Ale to będzie niemożliwe.

- Co będzie niemożliwe?

- Wszystko, Janku. Niech mnie pan posłucha, odsuńmy na bok urażoną ambicję.

- Proszę. Niech będzie! Ale w takim razie przedwczoraj pani ze mnie zadrwiła. Przypadek zrządził, że będąc w dobrym humorze, spotkała mnie pani na ulicy, i wtedy...

Odwróciła się z zamiarem odejścia.

- Czy popełniłem jakiś nietakt? - zapytał. Zbladł i zmienił się nie do poznania.

- Czymże uraziłem panią? Czy podczas tych dwu dni i nocy popełniłem coś karygodnego?

- Nie, to nie to. Ja tylko nad tym się zastanowiłam; a pan? Tak, to niemożliwe, rozumie pan. Ja pana lubię, ja bardzo pana cenię... I szanuję.

Ona spogląda na niego, jego uśmiech obraża ją, więc mówi dalej w tonie gwałtowniejszym:

- Boże mój, czyż pan sam tego nie pojmuje, że ojciec mój nie zgodziłby się na pana? Dlaczego zmusza mnie pan do mówienia o tym? Pan przecie sam wie o tym najlepiej. Do czego miałyby to doprowadzić? Czyż nie mam słuszności?

Milczenie.

- Tak - odpowiada Janek.

- Poza tym istnieje jeszcze tyle innych powodów... Nie, niech pan już nigdy nie przychodzi za mną do teatru. Po prostu przelękłam się pana. Niech pan nigdy tego nie czyni.

- Dobrze - odparł.

Ona chwyta jego dłoń.

- Czy nie mógłby pan powrócić do domu na jakiś czas? Sprawiłoby mi to wielką radość. Jakże gorącą ma pan rękę; a mnie zimno. Tak, teraz muszę już odejść.

Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiada.

Ulica zimna i szara ciągnęła się wzdłuż miasta. Wyglądała jakby pas z piasku, długa jak wieczność. Natknął się na jakiegoś chłopca sprzedającego stare, powiędłe róże; zagadnął go, wziął jedną różę, dał chłopakowi złotą pięciokoronówkę i poszedł

dalej. Niebawem zauważył gromadkę dzieciaków bawiących się koło jakiejś bramy.

Chłopak, może dziesięcioletni, siedzi tam cicho i przygląda się zabawie. Ma stare, niebieskie oczy wodzące za rówieśnikami, ma zapadłe policzki i czworograniastą brodę, a na głowie czapkę płócienną. Była to podszewka od czapki. Dzieciak ten nosił perukę, jakaś choroba włosów oszpeciła tę głowę na zawsze. Także i dusza jego zdawała się być całkiem zwiędła.

Wszystko to zauważył, jakkolwiek nie zdawał sobie sprawy, w której stronie miasta się znajduje lub dokąd idzie. Zaczęło padać, ale i tego nie zauważył i nie otworzył parasola, chociaż przez cały dzień miał go z sobą.

Gdy nareszcie dotarł do jakiegoś placu, gdzie stały ławki, zbliżył się do jednej z nich i usiadł. Deszcz padał coraz ulewniejszy, bezwiednie otworzył parasol i z miejsca się nie ruszył. Opanowało go znużenie nieprzewyciężone, na mózgu osiadła gęsta mgła, zamknął oczy i zaczął drzemać.

Po dłuższej chwili zbudziła go głośna rozmowa kilku przechodniów. Wstał i powłókł się dalej. Oprzytomniał nieco, przypomniał sobie wszystko, co zaszło, wszystko, co przeżył, nawet o chłopcu sobie przypomniał, któremu dał pięć koron za różę. Wyobrażał sobie zachwyt malca, gdy wśród groszaków znajdzie tę cudowną monetę i przekona się, że to nie dwudziestopięciocorówka, lecz pięciokoronówka w złocie. Bóg z tobą!

A gromadka dzieci, spłoszona przez deszcz, bawiła się w dalszym ciągu zapewne w bramie, może w klasie albo w dołek. A ten zeszepecony staruszek dziesięcioletni siedział i przyglądał się. Kto wie, może siedząc tam radował się myślą o czymś, może w izdebce w suterrenach posiadał jaką lalkę, jakiego pajaca, jakiego borutę. Możliwe, że nie wszystko jeszcze stracił w swym życiu, możliwe, że w zwiędłej jego duszyczce łąpoce jeszcze jakaś nadzieja.

Wtem pojawiła się przed nim elegancka, smukła dama. Drgnął i przystanął.

Nie, nie znał jej. Wyłoniła się z bocznej uliczki i szła krokiem

przyśpieszonym, mimo ulewnego deszczu nie miała parasola. Dogonił ją, przyjrzał się i poszedł dalej. Jaka wytworna i młoda! Przemoknie, przeziebi się, a on nie ma odwagi przystąpić do niej.

Wówczas zamknął parasol, ażeby nie sama mokła. Kiedy wrócił do domu, była już północ.

Na stole leżał list, bilet, było to zaproszenie. Sejerowie cieszyliby się, gdyby przyszedł do nich jutro wieczorem. Spotka znajomych, a między innymi - czy też zgadnie? - Wiktorię, panienkę z zamku. Serdeczne pozdrowienia.

Zasnął w krześle. Po kilku godzinach zbudził się zziębnięty. Na poły zaspany, dygocący z zimna, znękany całodziennymi przejściami, usiadł przy stole, by odpowiedzieć na zaproszenie, oczywiście odmownie.

Napisał list i już zamierzał zanieść go do skrzynki pocztowej, gdy nagle przypomina sobie, że i Wiktoria tam będzie. Tak, ale ona nic mu o tym nie wspomniała, snadź bała się, że gotów by przyjść, a tam, w towarzystwie ludzi obcych, wołała go nie widzieć.

Drze więc swoją odpowiedź, pisze nową, dziękuje za zaproszenie, przybędzie.

Ręka mu drży z nadmiernej porywczosci i owłada nim dziwnie przekorny bunt.

Czemu nie miałby pójść? Dlaczego miałby się ukrywać? Basta.

Gwałtowne wzburzenie ponosi go. Jednym szarpnięciem wyrywa z kalendarza ściennego garść kartek i wyprzedza czas o cały tydzień. Wmawia w siebie, że jest czymś rozradowany, niezmiernie zachwycony, będzie teraz używał, zapali fajkę, usadowi się na krześle i będzie się rozkoszował. Ale fajka jest do cna zanieczyszczona, na próżno rozbija się w poszukiwaniu scyzoryka lub szczoteczki, więc bez namysłu ułamuje wskazówkę u zegara ściennego, ażeby nią przeczyścić fajkę. Ten widok sprawia mu zadowolenie; wybucha wewnętrznym śmiechem i śledzi dokoła, co by jeszcze mógł zniszczyć.

Czas mija. Nie rozbierając się rzuca się w przemokłym ubraniu na łóżko i zasypia.

Gdy się obudził, było już późno. Deszcz wciąż jeszcze padał, na ulicach błoto.

Był na pół przytomny, resztki sennych majaków zmieszały się z przeżyciami dnia wczorajszego; nie czuł w sobie gorączki, lecz przeciwnie, ogarniał go chłodek przyjemny, jak gdyby po nocy przebytej w parnym lesie znajdował się teraz w pobliżu jeziora.

Ktoś puka, listonosz przynosi list. Rozdziera kopertę, czyta i trudno mu zrozumieć treść listu. Był to list od Wiktorii, kartka, pół arkusika; zapomniała mu powiedzieć, że dziś wieczorem będzie u Sejerów; pragnęłaby go tam spotkać, chciałaby mu dać wyjaśnienia, chciałaby go uprosić, aby o niej zapomniał i zniósł to po męsku. Przeprasza za ten świstek. Uprzejme pozdrowienia.

Wyszedł na miasto, zjadł obiad, wrócił do domu i ostatecznie napisał do Sejerów list z odmową; nie może przybyć, lecz pragnąc skorzystać z zaproszenia, przyjdzie innym razem, może jutro wieczorem. List ten odesłał przez posłańca.

5.

Jesień już, Wiktoria odjechała, a mała ustronna uliczka pozostała jak przedtem z swymi domami i ciszą. W pokoju Janka płonęło nocami światło. Zapalało się z pierwszymi gwiazdami, a gaśło z brzaskiem dnia. Pracował i walczył, pisał wielkie dzieło.

Tygodnie mijały i miesiące; żył samotnie, towarzystwa nie szukał, nawet Sejerów przestał odwiedzać. Rozigrana fantazja ponosiła go często i napędzała pod pióro pomysły, które nie miały z tematem najmniejszego związku, a które następnie zmuszony był przekreślać i odrzucać. Nagły jakiś szelest wśród ciszy nocnej, turkot pojazdu na ulicy potrafił myślą jego wstrząsnąć i zwrócić lot jej w zgoła innym kierunku:

Z drogi przed tym pojazdem, fora!

Dlaczego? Czemu to przed tym właśnie pojazdem miano się mieć na bacności? Przetoczył się już dalej, jest już na rogu. A tam stoi może w tej chwili człowiek bez palta, bez czapki, stoi pochyłony naprzód, ażeby głową uderzyć o nadjeżdżający powóz, chce być przejechany, zdruzgotany, zabity. Człowiek ten chce umrzeć, to jego rzecz. Nie zapina już guzików u koszuli, rano zaniechał już sznurowania trzewików, wszystko na nim rozchełstane, pierś jego naga i wychudła; niech umiera... Pewien człowiek dogorywał już i w ostatniej jeszcze chwili napisał do swego przyjaciela list, bilet, małą prośbę. Człowiek umarł, a list został. List był

zaopatrzony w datę i podpis, zawierał litery duże i małe, aczkolwiek ten, który go pisał, miał umrzeć za godzinę. Takie dziwne to było. Pod nazwiskiem umieścił także swój charakterystyczny zakrętas. A w godzinę później już nie żył... Oto inny człowiek. Leży samotny w małym pokoiku, pomalowanym na niebiesko i wyłożonym drewnianą lamperią. I cóż z tego? Nic. Na całym wielkim świecie jest on tym, który ma umrzeć. Takie zrobił odkrycie; rozmyśla więc nad tym aż do wyczerpania. Widzi, że już wieczór, że zegar na ścianie wskazuje ósmą, i pojąć nie może, dlaczego zegar nie bije.

Zegar nie bije. Na domiar wskazuje już kilka minut po ósmej, wahadło chodzi w dalszym ciągu, lecz zegar nie bije. Biedaczysko, mózg jego zaczął już usypiać, zegar bił, a on nie słyszał. Potem przedziurawił portret swojej matki na ścianie; na co mu ten portret i czemu ma być cały, gdy jego już nie będzie?

Znużone jego oczy spostrzegają na stole doniczkę z kwiatami, wyciąga przeto rękę i powoli a z rozważą ściąga ją ze stołu i tłucze w kawałki. Następnie wyrzuca za okno swoją bursztynową cygarniczkę. Wydaje mu się oczywiste, że ona tu niepotrzebna, skoro jego tu nie będzie.

I w tydzień później człowiek ten nie żył...

Janek wstaje i włóczy się po pokoju z kąta w kąt. Sąsiad w pokoju przyległym zbudził się, przestał chrapać, a zaczął rozpaczliwie wzdychać. Janek na palcach skrada się do stołu i siada. Wiatr szumi w topolach za oknami i mrozi go. Stare topole, ogołoczone z liści, podobne są do żałośliwych dziwolągów; sękate gałęzie ocierają się o ścianę i skrzypią niby piła w tartaku, niby najeżony młyn stępowy, który idzie i idzie.

Spoczął okiem na swych papierach i czyta, co napisał. Tak, wyobraźnia znowu go poniosła. Nie ma on nic do czynienia ze śmiercią ani z przejeżdżającym powozem. Wszakże pisze o pewnym ogrodzie, o pewnym zielonym i bujnym ogrodzie, znajdującym się w pobliżu jego ojcowizny, o ogrodzie zamkowym. O nim pisze. Spoczywa tam teraz martwy i śniegiem zasypyany, a mimo to pisze o nim i nie ma tam ani zimy, ani śniegu, natomiast wszechwładnie panuje wiosna i zapach wiosenny, i zefiry wiosenne. I wieczór jest. Woda tam dołem płynie cicha i głęboka, jest jakby jezioro ołowiane; bzy pachną, a żywopłoty pokryte pączkami i listowiem zielonym i taka cisza w powietrzu, że słychać tokowanie głuszca z drugiej strony przystani. Na jednej ze ścieżek ogrodu stoi Wiktoria, sama, w białej sukience, w dwudziestym wiośnie życia. Tak, to ona. Wzrostem przewyższa najwyższe krzaki różane, wzrok jej leci ponad wodą ku lasom, na drzemiące w oddali fieldy; wygląda jakby dusza biała wśród zieleni ogrodu. Od dołu z drogi słychać stąpanie, idzie parę kroków dalej aż do ukrytej altanki, łokciami opiera się o mur i patrzy w dół.

Wówczas mężczyzna na dole zdejmuje kapelusz, kłania się nisko, niemal do samej ziemi. Ona skinęła głową. Mężczyzna ogląda się, na drodze nie ma nikogo, kto by go śledził, przeto podchodzi parę kroków w stronę muru. Wtedy ona się cofa i woła:

„Nie, nie!”, i wykonuje ręką gest obronny. „Wiktorio”, rzekł, „to święta prawda, co pani niegdyś powiedziała, nie powinienem był o tym marzyć, bo to niemożliwe”.

„Tak”, odpowiada, „ale czego pan właściwie chce?” Podszedł ku niej całkiem

blisko, jeno mur ich dzieli, a odpowiedź jego brzmi: „Czego chcę? Widzi pani, chcę postać tu tylko minutkę. Po raz ostatni. Pragnę być blisko pani, najbliżej, jak tylko można, jak tylko można; tak, teraz stoję blisko pani!” Ona milczy. Minuta mija. „Dobranoc”, mówi on i skłania kapelusz znowu aż do ziemi. „Dobranoc”, odpowiada ona. I on odchodzi, nie oglądając się.

Cóż właściwie może go obchodzić śmierć? Zgniatą zapisane kartki i wrzuca je w piec. Leżą tam i inne jeszcze świstki zapisane, które winny być spalone, sama lotna pianka wyobraźni, co wystąpiła z brzegów. Przeto pisze dalej o owym mężczyźnie z dolnej drogi, o owym wędrowcu, który zjawił się i pożegnał, gdy czas jego minął. A w ogrodzie pozostało dziewczę młode, było w białej sukience i miało wiosen dwadzieścia. Nie chciała go, nie. Ale on stał kiedyś pod murem, za którym ona żyła.

Tak bliski był jej wtedy.

Mijały tygodnie i miesiące i nadeszła wiosna. Śnieg już zniknął, w dalekich przestrzeniach szumiało, jakby w wiosennym potopie ruszyły wszystkie wody świata. Przyleciały jaskółki i w lesie podmiejskim zbudziło się życie wesołe wśród stworzeń wszelakich i ptaków. Zapach świeży i słodki szedł od ziemi.

Praca jego trwała całą zimę. Jak gdyby akompaniując tej ciężkiej pracy skrzypiały suche gałęzie topoli i uderzały o ścianę domu dzień i noc bez przerwy; teraz nastąpiła wiosna, burze minęły, młyn stępowy stanął.

Otwiera okno i patrzy, na ulicy już cicho, jakkolwiek północ jeszcze nie wybiła, na bezchmurnym niebie gwiazdy migocą, zapowiada się dzień ciepły i jasny.

Słyszy wrzawę miasta, która miesza się z wieczystym poszumem dalekiego świata.

Nagle rozlega się przeraźliwy gwizd kolei, jest to sygnał pociągu nocnego; brzmi on jakby odosobnione pianie koguta w ciszy nocnej. Teraz nadszedł czas do pracy, ten gwizd pociągu nocnego był mu przez całą zimę napomnieniem.

Przeto zamyka okno i siada z powrotem przy stole. Odsuwa książki, które przedtem czytał, dobywa papier i sięga po pióro.

Wielka jego praca jest już na ukończeniu, braknie jeszcze jeno rozdziału końcowego, jakby pozdrowienia statku odpływającego, a to ma już w głowie: W gospodzie przydrożnej siedzi pan. Jest w przejeździe, wybiera się w świat daleko, daleko. Ma siwą głowę i zarost siwy, i lat sporo, lecz, jeszcze rosły i silny, i chyba młodszy, niż wskazuje jego wygląd. Na dworze stoi, jego powóz, konie wypoczywają, a woźnica jest wesół i zadowolony, ponieważ podróży poczęstował

go winem i jadłem. Kiedy pan ów wpisał się do księgi gospody, wtedy gospodarz poznaje go i składa mu ukłon, i okazuje dużo szacunku. „Kto zajmuje teraz zamek?”, pyta pan. „Kapitan”, odpowiada gospodarz, „jest bardzo bogaty; a pani kapitanowa bardzo ludzka dla wszystkich”. - „Dla wszystkich?”, pyta pan jakby siebie i uśmiecha się tak dziwnie. „Czy i dla mnie?” I pan siada, i pisze coś na kartce papieru, a gdy skończył, czyta raz jeszcze, jest to wiersz smutny i spokojny, lecz zawiera dużo gorzkich słów. Następnie jednak drze kartkę i z miejsca się nie rusza, i drze kartkę w strzępki coraz mniejsze. Wtem słyszy pukanie do drzwi i wchodzi pani jakaś w żółtej sukni. Odrzuca welon, jest to pani z zamku, pani Wiktoria. Piękna jest jak majestat. Pan zrywa się nagle, posępną jego duszę rozjaśniają w tej chwili błędne ogniki. „Pani jest taka dobra dla wszystkich”, rzekł z goryczą, „pani przychodzi więc do mnie”. Ona milczy, stoi jeno i patrzy na niego, a twarz jej pąsowieje. „Czego pani chce?”, pyta z nie ustępującą goryczą. „Czy pani po to przyszła, ażeby wskrzesić przede mną to, co minęło? W takim razie dzieje się to po raz ostatni, łaskawa pani, teraz wyjeżdżam na zawsze”. A młoda pani z zamku wciąż jeszcze milczy, lecz usta jej drżą. On mówi dalej: „Jeżeli to pani nie wystarcza, że raz już wyznałem swoje błazeństwo, w takim razie mówię pani ponownie: o pani tylko myślałem, lecz nie byłem godny pani, czy teraz pani zadowolona?” I ciągnie dalej z rosnącą gwałtownością: „Pani dała mi odpowiedź odmowną i poślubiła innego; ja byłem chłopem, niedźwiedziem, barbarzyńcą, który w młodości swej zabłąkał się w ostępie królewskim!” Potem pan w krzesło się osuwa i łka, i błaga: „Ach, odejź!

Przebacz mi, idź, pani, proszę, swoją drogą!” Teraz jednak pierzchła wszelka czerwień z oblicza pani z zamku. I oto pani mówi, a wypowiada każde słowo wyraźnie i z naciskiem: „Kocham pana; niech pan mnie nareszcie zrozumie, kocham pana jednego; żegnam pana!” I młoda pani z zamku ukryła twarz w dłoniach i wyszła z pokoju...

Odłożył pióro i wsparł się na krześle. Tak jest, kropka, koniec. Oto leży książka, wszystkie te zapisane kartki, praca dziewięciu miesięcy. Przebiega go ciepły dreszczyk zadowolenia, bo ukończył swe dzieło. I gdy tak siedzi, i ku oknu spogląda, przez które dzień świta, w głowie mu szumi i tętni, i duch jego pracuje w dalszym ciągu. Pod wpływem nastroju mózg zdaje się mu jakoby ogrodem bujnym, pogrążonym w porannej mgle, uginającym się pod ciężarem owocu.

W sposób tajemniczy znalazł się w dolinie głębokiej i wymarłej, gdzie nie było śladu życia. Hen w oddali, samotne i zapomniane, stoją organy i grają. Zbliży się do nich, ogląda je, organy krwawią podczas gry, krew ścieka z ich boku. Idzie dalej i wchodzi na rynek. Wszędzie tam pusto, ani drzewa nie widać, ani głosu żadnego nie słyhać, jest tylko puste targowisko. W piasku

jednak widoczne są ślady obuwia ludzkiego, a w powietrzu ostatnie jeszcze unoszą się słowa na tym miejscu wypowiedziane, tak niedawno je opuszczono. Ogarnia go uczucie niesamowite, te słowa, które nad targowiskiem w powietrzu zawisły, przejmują go lękiem. Odpędza je, a one wracają, nie są to słowa, lecz starcy, gromada starców, którzy tańczą; teraz dopiero to spostrzega. Czemuż oni tańczą i czemu nie weselą się, kiedy tańczą?

Zimny podmuch wieje od tej zgrai starców, nie widzą go, bo są ślepi, a gdy ich woła, nie słyszą, bo są głusi. Wędruje na wschód, ku słońcu, i staje pod górą. I głos jakiś woła: „Czy stoisz pod górą?” - „Tak”, odpowiada, „stoję pod górą”. Na to odzywa się głos: „Góra, pod którą stoisz, to moja stopa; spętany leżę na krańcu świata, przyjdź i wyzwól mnie!” Przeto idzie na kraniec świata. Koło pewnego mostu stoi człowiek i czatuje na niego; zbieracz cieni, człowiek z piżma. Lęk zimny chwyta go na widok tego człowieka, który chce mu zrabować cień. Pluje na niego i grozi mu pięścią, ale człowiek stoi nieruchomo i czeka. „Zawróć!”, rozlega się głos za nim.

Odwraca się i widzi głowę, która toczy się przed nim i wskazuje mu drogę. Głowa ta jest głową człowieka i raz po raz śmieje się cicho i milcząco. Idzie za nią. Głowa toczy się przed nim dzień i noc, a on idzie za nią; na brzegu morza zsuwa się w ziemię i znika. On wchodzi w morze i zanurza się w głębię. Zatrzymuje się przed bramą potężną i spotyka wielką, szczekającą rybę. Ryba ma dużą grzywę na karku i szczeka na niego jak pies. Za rybą stoi Wiktoria. Wyciąga ku niej rękę, jest zupełnie naga, śmieje się do niego, a poprzez włosy jej dmie wichura. Woła na nią, słyszy własny krzyk - i budzi się.

Janek wstaje i przystępuje do okna. Rozwidniło się już nieomal i w małym lusterku przy oknie widzi, że skronie ma zaczerwienione. Gasi lampę i przy szarym świetle powstającego dnia odczytuje raz jeszcze końcowy rozdział swej książki.

Potem kładzie się spać.

Tegoż dnia po południu zapłacił za pokój, oddał wydawcy manuskrypt i wyjechał. Wyjechał za granicę, nikt nie wiedział - dokąd.

6.

Duża księga ukazała się, księga-królestwo, mały, poszumny świat nastrojów, głosów i zjawisk. Sprzedawano ją, czytano, odkładano. Minęło kilka miesięcy; gdy nadeszła jesień, Jan dał światu nową książkę. Co teraz? Nazwisko jego znalazło się od razu na ustach wszystkich, szczęście sprzyjało mu, ta nowa książka powstała na obczyźnie, z dala od wydarzeń w kraju, a była cicha i mocna jak wino:

„Kochany Czytelniku, jest to historia o Dyderyku i Iselinie. Napisana w beztróskim czasie, w dniach drobnych zmartwień, gdy wszystko wydawało się proste, napisana z myślą o Dyderyku, którego Bóg pokarał miłością”.

Jan przebywał za granicą, lecz nikt nie wiedział, gdzie. I minął rok przeszło, zanim się kto o tym dowiedział.

- Zdaje mi się, że ktoś puka do drzwi - rzekł pewnego wieczoru stary młynarz.

Oboje z żoną siedzą cicho i nasłuchują.

- Nie, zdawało ci się - odzywa się młynarzowa. - Dziesiąta już, noc bliska.

Mija kilka chwil.

Nagle słycać ponowne pukanie do drzwi, tym razem mocne i zdecydowane, jak gdyby ktoś dopiero teraz zebrał się na odwagę. Młynarz otwiera. Za drzwiami stoi panienska z zamku.

- Nie bójcie się, to ja - powiada i uśmiecha się nieśmiało. Wchodzi do izby; podają jej krzesło, lecz ona nie siada. Na głowie ma tylko szal, a na nogach małe, płytkie trzewiczki, choć to jeszcze nie wiosna i drogi rozmiękle.

- Chciałam was tylko uprzedzić, że wiosną przyjedzie porucznik - rzekła.

- Porucznik, mój narzeczony. I będzie polował tu zapewne na bekasy.

Chciałam was tylko przygotować na to, żebyście się nie przerazili.

Młynarz i żona jego spoglądają na nią zdziwieni. Nigdy dotychczas nie zapowiadano polowania gości zamkowych. Dziękują jej pokornie.

Wiktoria zbliża się znowu ku drzwiom.

- To wszystko. Myślałam sobie: jesteście starzy, nie zawadzi więc, jeżeli wam to powiem.

- Że też to się chciało wielmożnej paniencie! - odpowiada młynarz. - Panienska w tych niskich trzewiczkach zamoczyła sobie nóżki do cna.

- Nie, droga jest sucha - odzywa się krótko. - Byłam przecie na przechadzce.

Dobranoc.

- Dobranoc.

Naciska klamkę i wychodzi. W drzwiach jednak odwraca się jeszcze raz i pyta:

- Prawda... a Janek, czy słyszeliście co o nim?

- Nie, nic o nim nie słyszeliśmy. Nic zupełnie.

- On chyba przyjedzie niedługo. Myślałam, że macie jakie wiadomości.
- Nie, nie mamy żadnej od zeszłej wiosny. Janek siedzi podobno gdzieś w obcych krajach.
- Tak, w obcych krajach. Dobrze mu się wiedzie. Sam pisze, że przeżywa beztroski okres. Zapewne więc dobrze mu się wiedzie.
- Ano, ano, Bóg jeden wie. Oczekujemy go, ale on do nas nie pisze, do nikogo nie pisze. My go jeno oczekujemy.
- Zapewne lepiej mu tam, gdzie jest, skoro tak małe ma kłopoty. No tak, to jego sprawa. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy na wiosnę wraca do domu. No, dobranoc już.
- Dobranoc.

Młynarz i żona jego towarzyszą jej do drzwi. Patrzą za nią i widzą, jak ze wzniesioną głową wraca do zamku i jak w swych niskich trzewiczkach brnie przez kałuże na drodze błotnistej.

W dwa dni później nadszedł list od Janka. Powróci mniej więcej za miesiąc, po ukończeniu nowej książki. Przez cały ten długi czas wiodło mu się dobrze, ma na ukończeniu nową pracę, zdaje mu się, że przez mózg jego przetoczyło się życie całej ludzkości...

Młynarz zmierza w stronę zamku. Na drodze znajduje chusteczkę, wyszyty na niej monogram Wiktorii, zgubiła ją przedwczoraj wieczorem.

Panienka jest na górze, ale służąca natychmiast ją zawiadomi. Co ma powiedzieć?

Młynarz nie godzi się na to. Woli poczekać.

Panienka schodzi nareszcie.

- Słyszałam, że chcieliście ze mną mówić? - zapytuje i otwiera drzwi do jednego z pokojów.

Młynarz wchodzi, oddaje chusteczkę i mówi:

- Chciałem też powiedzieć, że dostaliśmy list od Janka.

Radość drga na jej twarzy przez chwilę, przez maleńką chwilę. Odzywa się:

- Dziękuję wam. Tak, to moja chusteczka.

- Niedługo powróci do nas - ciągnie młynarz dalej prawie szeptem.

Wiktorii przybiera maskę chłodną:

- Mówcie głośniej, młynarzu; kto taki przyjeżdża?

- Janek.

- Janek. No i cóż stąd?

- Nic takiego, jeno... Myśmy myśleli, że miałem powiedzieć. Myśmy mówili o tym, niby moja żona i ja, i ona myślała tak samo. Panienska pytała przedwczoraj, czy wróci na wiosnę. Tak, wróci.

- W takim razie bardzo się pewnie cieszyacie? - mówi panienska. - A kiedyż wraca?

- Za miesiąc.

- Aha. Tak, czy macie jeszcze jaką sprawę?

- Nie. Myśmy jeno myśleli, bo panienska pytała... Nie, nic więcej nie mam.

Jeno to.

Młynarz znowu mówił głosem przyciszonym.

Odprowadza go. Na progu spotykają jej ojca i Wiktorja oznajmia mu głośno i obojętnie:

- Młynarz opowiadał właśnie, że Janek wraca do domu. Ojciec chyba pamięta Janka?

I młynarz wychodzi za bramę zamkową, i poprzysięga sobie, że już nigdy, nigdy nie pozwoli się wystrychnąć na dudka i nie da posłuchu gadaniu swej żony, jeżeli będzie chodziło o sprawy tajemnicze, niejasne. To jej powie.

7.

Smukłą jarzębinę, rosnącą nad tamką młyńską, zamierzał niegdyś wyciąć na wędkę; od tego czasu minęło lat wiele i drzewo stało się grubsze od jego ramienia.

Przyjrzał mu się pełen podziwu i poszedł dalej.

Wzdłuż strumyka zieleniła się paproć, nieprzebyty gąszcz, istny bór, tylko gdzieś tam było wydeptało ścieżki, nad którymi rozczapierały się wachlarze paproci. Przez gęstwinę leśną przedzierał się dziś, jak ongi, w dzieciństwie, torując sobie drogę rękami i nogami. Owady i robactwo zmykało w popłochu przed wielkoludem.

Na górze przy kamieniołomie zastał tarninę, astry i fiołki w pełnym rozkwicie.

Zerwał garść kwiatów, a zapach ich przywrócił mu wspomnienie dawnych czasów.

W dali siniały wzgórza sąsiedniej parafii, a z drugiej strony zatoki kukułka rozpoczęła nawoływanie.

Usiadł; po chwili zaczął nucić jakąś melodię. Wtedy od strony ścieżki poniżej usłyszał kroki.

Był wieczór, słońce zaszło; ciepło dnia jednak drżało jeszcze w powietrzu.

Ponad lasami, pagórkami, jeziorem spoczywał nieskończony spokój. Postać kobieca szła w górę ku kamieniołom. To Wiktorja. Niosła koszyczek.

Jan wstał, uklonił się i zamierzał się oddalić.

- Nie chciałam panu przeszkadzać - rzekła. - Przyszłam tu, aby narwać nieco kwiatów.

Milczał. I nie pomyślał nawet o tym, że wszelkie kwiaty, jakich mogła była zapragnąć, miała w swym ogrodzie.

- Zabrałam ze sobą nawet koszyczek do kwiatów - ciągnęła dalej. - Ale możliwe, że nie znajdę tu żadnych. Potrzebne nam na nasz wieczorek. Mamy zamiar urządzić wieczorek.

- Są tu astry i fiołki - rzekł. - Nieco wyżej chmiel, ale na niego jeszcze za wcześnie.

- Bledszy pan jest niż za ostatniej bytności - zauważyła zwrócona ku niemu. -

To już przeszło dwa lata. Pan bawił za granicą, jak słyszałam. Czytałam pańskie książki.

On ciągle jeszcze milczał. Przyszło mu na myśl, że mógłby powiedzieć na przykład: „Tak, dobry wieczór łaskawej pani!” - i odejść. Od tego miejsca, gdzie stał, krok był tylko do najbliższego kamienia, od niego znowuż krok do niej, a potem mógłby się wycofać, jakby nigdy nic. Stała pośrodku jego drogi. Miała na sobie żółtą sukienkę i czerwony kapelusz, była niezwykła i piękna; szyję miała obnażoną:

- Zagradzam pani drogę - bąknął i usunął się. Opanował się, by nie zdradzić wzruszenia.

Jeszcze krok ich tylko dzielił. Ona nie ruszyła się, ażeby mu miejsce zrobić.

Spojrzeli sobie w oczy. Nagle zapłonila się bardzo, spuściła oczy i ustąpiła na bok, twarz jej przybrała wyraz wahania, uśmiechała się jednak.

Przeszedł mimo niej i przystanął, smutny jej uśmiech targnął nim, serce mu zatrzepotało ku niej znowu i powiedział na chybił trafił:

- Tak, od tego czasu oczywiście często bywała pani w mieście? Od wtedy?

Teraz przypominam sobie, gdzie dawniej rosło dużo kwiatów: na górze koło flagi zamkowej.

Zwróciła się ku niemu i ze zdziwieniem spostrzegł, że twarz jej zbladła i drżała ze wzruszenia.

Czy pan tego wieczoru przyjdzie do nas? To jest, czy pan przyjdzie na ów wieczorek? Zamierzamy urządzić wieczorek - mówiła dalej, a lica jej poczęły się znowu rumienić. - Będzie trochę gości z miasta. Nastąpi to niebawem, ale uwiadomię pana jeszcze dokładnie. Co pan na to?

Nie odpowiedział. To nie towarzystwo dla niego, on nie należał do zamku.

- Pan nie powinien mi odmawiać. Nie będzie się pan nudził, pomyślałam o tym, obmyślałam dla pana pewną niespodziankę.

Milczenie.

- Pani nie może mnie już zaskoczyć żadną niespodzianką - odparł.

Przygryzła usta; uśmiech rozpaczliwy przemknął znowu po jej twarzy.

- Czego pan właściwie żąda ode mnie? - odezwała się głucho.

- Niczego od pani nie żądam, panno Wiktorio. Siedziałem tu na kamieniu, zaproponowałem pani, że się oddalę.

- Ach tak, szłam do domu, cały dzień chodziłam dokoła, wreszcie tu się znalazłam. Mogłam iść wzdłuż strumyka i inną pójść drogą, wtedy nie przyszedłabym tutaj...

- Ależ, pani najmiłsza, ten plac należy do pani, nie do mnie.

- Janku, niegdyś wyrządziłam panu krzywdę, pragnęłabym ją teraz naprawić, wymazać z pamięci to, co się stało. Mam naprawdę niespodziankę i wierzę, to znaczy, mam nadzieję, że się pan nią ucieszy. Więcej powiedzieć nie mogę. Ale proszę pana tym razem mi nie odmówić.

- Jeżeli to pani sprawi przyjemność, przyjdę.

- Pan naprawdę przyjdzie?

- Tak, dziękuję pani za okazaną uprzejmość.

Kiedy znalazł się na dole, w lesie, odwrócił się i spojrzał w górę. Ona siedziała, koszyczek stał obok niej. Nie poszedł do domu, jeno włóczył się drogą bez celu. Tysiące myśli w nim się kłębiły. Niespodzianka? Powiedziała to dopiero co, przed chwileczką, głos jej drżał. Jakaś radość wzbiera w nim, gorąca i nerwowa, serce łomocze szalone, czuje, jakby miał się unieść nad drogą, którą kroczy. I czy był

to jeno przypadek, że i dziś miała na sobie żółtą sukienkę? Przyjrzał się jej ręce, na której niegdyś błyszczał pierścionek - pierścionka nie miała.

Mija godzina. Opary leśne i z łąk pobliskich unoszą się dokoła niego, wtłaczają się do jego oddechu, do serca. Siada, przechyla się w tył z rękoma założonymi na karku i nasłuchuje wołania kukułki po tamtej stronie zatoki.

Namiętny świergot ptactwa drga w powietrzu dokoła niego.

A więc znowu się tego doczekał! Gdy przyszła do niego, do kamieniołomu, w swej żółtej sukience i szkarłatnym kapeluszu, wyglądała jak motyl wędrowny, który z kamienia na kamień przelatując, przed nim się zatrzymał. „Nie chciałam panu przeszkadzać” - powiedziała i uśmiechnęła się, a uśmiech ten był czarowny, zajaśniało całe jej oblicze, gwiazdy rozsypywała dokoła siebie. Dwie żyłki, delikatne, błękitne, widoczne były na jej szyi, a nieco piegów pod oczyma nadawało jej ciepłego kolorytu. Wstępowała w swoją dwudziestą wiosnę.

Niespodzianka? Jakież był jej zamiar? Czy może chciała mu pokazać jego książki, wyłożyć te dwa, trzy tomy i uradować go tym, że je kupiła i porozcinała?

Proszę bardzo, małeńka odrobina względów i uprzejmej pociechy! Nie pogardzaj pan moim nikłym podarkiem!

Podniósł się gwałtownie i stanął w miejscu.

Wiktoria wracała z pustym koszykiem.

- Nie znalazła pani żadnych kwiatów? - zapytał nieprzytomnie.

- Nie, zaniechałam. Wcale ich nawet nie szukałam, siedziałam tylko.

- Zanim zapomnę - rzekł. - Pani naprawdę zupełnie niepotrzebnie wmawia sobie, jakoby wyrządziła mi krzywdę. Pani nie potrzebuje naprawiać niczego obmyślając uprzejmości.

- Nie - odparła zaskoczona. Zastanawiała się nad tym, co powiedział, spojrzała na niego i dociekała. - Nie. Sądziłam, że wówczas... Nie chciałam, żeby za to, co zaszło, pan ustawicznie na mnie się gniewał.

- Nie, ja na panią się nie gniewam.

Ona chwilę rozmyśla i prostuje się dumnie.

- W takim razie dobrze - mówi. - Ach, przecie powinnam była wiedzieć, że przeszło to bez wrażenia. Tak, więc nie mówmy już o tym.

- Owszem, nie mówmy już o tym. Moje wrażenia są pani obojętne, tak dziś, jak i ongiś.

- Adieu - rzekła. - Do widzenia.

- Adieu - odparł.

Rozeszli się każde w swoją stronę. Przystanął i obejrzał się. Tam oto szła ona.

Wyciągnął rękę i szeptał cicho i tklawie: - Ja nie gniewałem się na panią, nie, nie, nigdy, przenigdy; ja wciąż jeszcze panią kocham, kocham panią...

- Wiktorio! - zawołał.

Usłyszała, drgnęła i odwróciła się, poszła jednak dalej swoją drogą.

Minęło kilka dni. Janek znajdował się w stanie najsilniejszego niepokoju, nie pracował, nie spał; cały prawie dzień przepędził w lesie. Udał się na szerokie wzgórze świerkowe, gdzie sterczało zamkowe drzewce sztandarowe; na szczycie powiewał sztandar. Z okrągłej wieży zamku powiewała również flaga.

Ogarnęło go dziwne napięcie. Dzisiaj goście mają zjechać do zamku, ma się odbyć festyn.

Popołudnie było ciche i ciepłe; strumyk tętnił poprzez gorący pejzaż. Parowiec jakiś się zbliżał ku wybrzeżu, pozostawiając za sobą wachlarz białych smug na powierzchni morza. Teraz wyjechały z dziedzińca pałacowego cztery pojazdy, dążąc w stronę pomostu.

Statek przybił do brzegu, panowie i panie zeszli z pokładu i zajęli miejsca w pojazdach. W tejże chwili rozległ się z zamku huk wystrzałów; dwóch ludzi stało na okrągłej wieży, nabijali i strzelali, nabijali i strzelali ze strzelb myśliwskich. Po dwudziestym pierwszym strzale pojazdy wtoczyły się przez bramę pałacową i wtedy palba zamilkła.

Tak, w zamku miała się odbyć wielka uczta. Gości powitano flagami, wystrzałami i wiwatami.

W pojazdach siedziało kilku oficerów, między nimi może i Oton, porucznik.

Janek zszedł ze wzgórza i udał się w drogę powrotną. Jakiś posłaniec z zamku dogonił go i zatrzymał. Miał w czapce list, wysłała go panna Wiktorina i ma przynieść odpowiedź.

Janek przeczytał list z bijącym sercem. Wiktorina zapraszała go mimo wszystko, pisała do niego w słowach serdecznych, prosząc, aby przyszedł. Ten jeden raz tylko pragnęłaby go uprosić. Posłaniec zaczeka na odpowiedź.

Zaskoczyła go radość cudowna, nieoczekiwana, krew uderzyła mu do głowy i odpowiedział posłańcowi, że przyjdzie. Tak, dziękuje serdecznie i przyjdzie natychmiast.

- Proszę bardzo!

Dał posłańcowi śmiesznie duży napiwek i pobiegł do domu, żeby się przebrać.

8.

Po raz pierwszy w swym życiu przekraczał bramę zamku i wstępował na schody pierwszego piętra. Ze środka dochodził go gwar głosów, serce biło gwałtownie; zapukał i wszedł.

Młoda jeszcze dziedziczka zamku wyszła mu naprzeciw i powitała uprzejmie uściskiem dłoni. Cieszy ją, że go widzi, pamięta go jeszcze z czasów, kiedy był taki, ot, tyciusieńki; teraz zaś jest człowiekiem wielkim... I zdawało się, jakoby chciała coś więcej jeszcze powiedzieć, rękę jego trzymała długo w swej dłoni i przyglądała mu się badawczo.

I dziedzic zamku zbliżył się i dłoń mu podał. Jak już żona zauważyła, jest człowiekiem wielkim, i to wielkim w niejednym względzie. Człowiekiem sławnym.

Bardzo się cieszy...

Przedstawiono go panom i paniom, szambelanowi, który dźwigał na swej piersi wszystkie swe ordery, szambelanowej, jakiemuś obywatelowi ziemskiemu z sąsiedztwa, Otonowi, porucznikowi. Wiktorii nie widział.

Minęło sporo czasu. Ukazała się wreszcie, blada, a nawet niepewna siebie; prowadziła za rękę jakąś młodą panienkę. Obeszły salę dokoła, przywitały się ze wszystkimi, rozmawiały z każdym.

Zatrzymały się przy Janku.

Wiktoria uśmiechnęła się i rzekła:

- Patrz pan, oto Kamila, czyż to nie niespodzianka? Państwo przecie się znacie.

Stała chwilę i patrzała na oboje, po czym wyszła z sali.

Janek w pierwszej chwili osłupiał i zmieszał się. Więc to była owa niespodzianka; Wiktoria podsunęła najuprzejmiej na swoje miejsce inną. Słuchajcie, zbliżcie się do siebie i pobierzcie się, ludzie! Wiosna w pełnym przepychu, słońce świeci; otwórzcie okna, jeśli chcecie, bo tam zapach w ogrodzie i szpaki igrają w wierzchołkach brzoź. Czemu nie rozmawiacie ze sobą? Toż śmiejcie się!

- Owszem, znamy się - rzekła Kamila swobodnie. - Tu mnie pan z wody wydobył.

Była młoda i jasnowłosa, wesoła, w różowej sukience i w siedemnastym roku życia. Janek zacisnął zęby i śmiał się, i żartował. I naprawdę jej szczebiot wesoły począł go powoli ożywiać, rozmawiali ze sobą długo, bicie serca mu ustępowało. Z

lat dziecięcych zachowała jeszcze ten przemiły nawyk przechylania głowy na bok i słuchania w skupieniu, gdy mówił. Poznał ją.

Wiktoria powróciła, wzięła porucznika pod ramię i pociągnęła go do Janka:

- Zna pan Otona... mego narzeczonego? Pan przypomina go sobie zapewne.

Obaj panowie przypominają sobie. Zamieniają słowa niezbędne, niezbędne składają sobie ukłony i rozstają się. Janek i Wiktoria zostali sami.

- Czy to było ową niespodzianką?

- Tak - odparła podrażniona i zniecierpliwiona. - Uczyniłam to, co uważałam za najlepsze, nic innego uczynić nie mogłam. Przestań pan teraz dziwaczyć, raczej proszę mi podziękować; widziałam, że pan się ucieszył.

- Dziękuję pani. Tak, ucieszyłem się.

Rozpacz porwała go niewysłowiona, twarz jego pokryła się trupią bladością.

Jeżeli niegdyś wyrządziła mu krzywdę, to teraz wyrównała ją - i pocieszyła. Był jej szczerze wdzięczny.

- A następnie widzę, że dzisiaj ma pani swój pierścionek - rzekł głucho.

- Niechże go pani nigdy już odtąd nie zdejmuj.

Milczenie.

- Nie, odtąd go już zapewne nigdy nie zdejmę.

Spojrzeli sobie w oczy. Usta jego drżały, ruchem głowy wskazał na porucznika i rzekł głosem ochrypłym i szorstkim:

- Pani ma dobry gust, panno Wiktorio. Piękny mężczyzna. Jego szlify zastępują mu braki szerokości pleców.

Odparła z wielkim spokojem:

- Nie, on nie jest ładny. Ale to człowiek cywilizowany. A to także coś znaczy.

- Aha, to pod moim adresem, dziękuję! - Zaśmiał się głośno i dodał z cynizmem: - I ma pieniądze, to znaczy jeszcze więcej.

Oddaliła się nagle, bez słowa.

Błąkał się od ściany do ściany jak potępieniec. Kamila mówiła do niego, pytała o coś, lecz on nie słyszał nic i nic nie odpowiadał. I znowu coś

powiedziała, dotknęła nawet jego ramienia i ponownie zapytywała daremnie.

- Doprawdy, chodzi teraz dokoła i rozmyśla - zawołała roześmiana. - On rozmyśla, on rozmyśla!

Wiktoria słyszała to i zauważyła:

- On chce być sam. Mnie także się pozbył.

- Nagle jednak przystąpiła do niego blisko i powiedziała całkiem głośno:

- Pan biedzi się z pewnością nad tym, jak by się uniewinnić przede mną.

Niech pan się z tego powodu nie trudzi. Przeciwnie, to ja winnam pana przeprosić za to, że tak późno wysłałam panu zaproszenie. Było to niedopatrzenie z mej strony. Nie pamiętałam o panu do ostatniej chwili, byłabym o panu niemal całkiem zapomniała. Ale mam nadzieję, że pan mi wybaczy, tak wiele miałam na głowie.

Oślupiały, patrzył na nią bez słowa; nawet Kamila była zaskoczona tym i w najwyższym zdumieniu spoglądała to na nią, to na niego. Wiktoria stała tuż przed nimi, a jej twarz, zimna i blada, wyrażała zadowolenie. Zemściła się.

- Oto, taka jest nasza kawaleria dzisiejsza - odezwała się do Kamili. - Nie spodziewajmy się od nich zbyt wiele. Tam siedzi mój narzeczony i rozprawia o polowaniu na łosie, a tu stoi poeta i rozmyśla... No, powiedzże pan coś, panie poeto!

Drgnął; żyły na skroniach mu pociemniały.

- Dobrze. Pani doprasza się, ażebym coś powiedział?

- Ach, niekoniecznie, nie wysilaj się pan.

Chciała już odejść.

- Ażeby sprawę od razu ująć jak należy - zaczął z wolna i z uśmiechem, podczas gdy głos mu drżał - ażeby przystąpić do niej bez ogródek: czy pani była niedawno zakochana, panno Wiktorio?

Cisza zapanowała na kilka sekund; wszyscy troje słyszeli bicie swych serc.

Kamila zauważyła nieśmiało:

- Wiktoria jest oczywiście zakochana w swym narzeczonym. Dopiero się zaręczyła, czy pan o tym nie wie?

Otwarto podwoje do sali jadalnej.

Janek odnalazł wyznaczone mu miejsce i stanął przy nim. Stół tańczył mu przed oczyma, widział mnóstwo ludzi i słyszał szum głosów.

- Proszę, to pańskie miejsce - rzekła uprzejmie pani domu. - Oby już wszyscy usiedli.

- Przepraszam pana! - odezwała się nagle tuż za nim Wiktoria.

Cofnął się.

Wzięła ze stołu jego kartkę i położyła o kilka miejsc niżej, obok staruszka, który był niegdyś w zamku nauczycielem domowym i o którym opowiadano, że pije. Wróciła z inną kartką i usiadła.

Stał tam i przyglądał się wszystkiemu. Pani domu, nieprzyjemnie tym dotknięta, poczęła poprawiać coś po drugiej stronie stołu i unikała jego spojrzenia.

Teraz jeszcze bardziej się zmieszał niż przedtem i całkiem już zdenerwowany udał się na swe nowe miejsce; miejsce pierwotnie dla niego przeznaczone zajął jeden z miejskich przyjaciół Ditlefa, jakiś młodzieniec z brylantowymi spinkami w gorsie.

Po lewej stronie młodzieńca zasiadła Wiktoria, po prawej Kamila.

I obiad się rozpoczął.

Stary nauczyciel znał Janka jeszcze z lat jego dziecięcych, przeto szybko zawiązała się między nimi rozmowa. Opowiadał, że i on za młodych lat zajmował się poezją, manuskrypty posiada jeszcze, przy sposobności da Jankowi do przeczytania.

Dziś zaproszono go tu, ażeby uczestniczył w uroczystości rodzinnej z powodu zaręczyn Wiktorii. Dziedzic i dziedziczka zgotowali mu tę niespodziankę w imię dawnej przyjaźni.

- Nie czytałem nic pańskiego - mówił. - Jeżeli czytam, to tylko własne utwory; mam pełną szufladę wierszy i opowieści. Mają być wydane po mojej śmierci; pragnąłbym przecie, ażeby publiczność dowiedziała się, kim byłem. Tak, tak, my, nieco starsi w zawodzie, my nie jesteśmy tak prędcy w zanoszeniu wszystkiego do drukarni, jak to się dzisiaj dzieje. Zdrowie pańskie!

Obnoszą drugie danie. Pan domu dzwoni w kieliszek i wstaje. Jego dystygowane szczupłe oblicze promienieje ze wzruszenia; sprawia wrażenie, jakby bardzo był uradowany. Janek pochyla głowę nisko. Kieliszek jego próżny i nikt mu nie nalewa; sam więc napełnia go po brzeg i pochyla się znowu. Teraz stanie się!

Mowa była długa i ładna i przyjęto ją hucznym rozgwarem; zaręczyny zostały ogłoszone. Mnóstwo życzeń posypało się ze wszystkich stron stołu dla córki pana domu i syna szambelana.

Janek wychylił swój kielich.

Po kilku minutach nerwowość jego ustąpiła, powrócił spokój; szampan musuje łagodnie w jego żyłach. Słyszy, że i szambelan przemawia i że ponownie rozlegają się brawa i uderzenia kielichów. Pierwszy raz patrzy w stronę Wiktorii; jest blada i robi wrażenie udręczonej, nie podnosi oczu. Natomiast Kamila kiwa do niego głową i uśmiecha się, i on odwzajemnia się skinieniem.

Nauczyciel domowy gawędzi dalej:

- Piękna to rzecz, piękna, kiedy dwoje się pobiera. Mnie nie było to pisane.

Byłem młodym studentem, świetne perspektywy, duże zdolności; ojciec mój miał

stare nazwisko, wielki dom, bogactwa, wiele, wiele okrętów. Mogę nawet powiedzieć, że miałem niezwykle świetne perspektywy. I ona była młoda i z dobrej rodziny. Przychodzę do niej i oświadczam się. „Nie”, odpowiada. Czy może pan ją zrozumieć? „Nie”, powiada, „nie chcę”. Wtedy postąpiłem tak, jak uważałem za jedynie właściwe, pracowałem dalej i zachowałem się jak na mężczyznę przystało.

Potem spadł na mego ojca ów nieszczęsny rok, rozbicie okrętów, długi poręczeniowe, słowem, zbankrutował. A cóż ja na to? Zachowałem się znowu tak, jak przystało na mężczyznę. I teraz naprawdę nie pozwala czekać na siebie, mówię o owej panience. Powraca, odnajduje mnie w mieście. Czego chciała ode mnie? -

zapyta pan. Biedny byłem, przyjąłem lichą posadę nauczycielską, wszystkie moje perspektywy przepadły, a moje poezje spoczywały w szufladzie. Wtedy przyszła ona i chciała. Chciała!

Nauczyciel spojrział na Janka i zapytał:

- Czyż może pan ją zrozumieć?

- Ale wtedy pan nie chciał?

- Czyż mogłem być chcieć, pytam się? Ogołocoony z wszystkiego, całkowicie ogołocoony, nagi, posada nauczycielska, knaster w fajce, i to tylko w niedzielę, co pan myśli? Tej przykrości przecie nie mogłem być jej wyrządzić. Ale powtarzam: Czy pan może ją zrozumieć?

- A co się z nią potem stało?

- Ach, Boże, pan wcale nie odpowiada na moje pytanie. Wyszła za męża za jakiegoś kapitana. Po roku. Za kapitana artylerii. Zdrowie pańskie.

Janek rzekł:

- O pewnych kobietach zwykło się mówić, że szukają obiektu dla swej litości.

Jeżeli mężczyźni dobrze się powodzi, wtedy nienawidzą go i czują się zbyteczne; wiedzie mu się źle i musi karku ugiąć, natenczas ubolewają nieszczerze i mówią: oto jestem.

- Ale czemu nie chciała nic o mnie wiedzieć wtedy, za moich dobrych czasów?

Perspektywy miałem jak młody bóg.

- Czekala widocznie, aż pan karku do ziemi ugnie. Zresztą Bóg wie, czego chciała.

- Ale ja nie dałem się ugiąć. Nigdy. Zachowałem się dumnie, dałem jej kosza.

Co pan na to?

Janek milczał.

- Może pan ma i słusność - rzekł stary nauczyciel domowy. - Ale na Boga i wszystkich świętych, co do tego ma pan zupełną słusność! - zawołał w nagłym podnieceniu i wychylił kieliszek. - Koniec końców wyszła za starego kapitana; pielęgnuje go, pitrasi mu jego ulubione potrawy i jest panią domu. Kapitan artylerii!

Janek podniósł oczy. Wiktoria siedzi z kielichem w ręku i wpatruje się w niego uporczywie. Wznosi kielich w górę. On czuje, jak go coś podrywa, i też chwyta za kielich. Ręka mu drży.

I wtedy wymówiła głośno nazwisko jego sąsiada, i zaśmiała się; nazwisko nauczyciela.

Janek postawił pokornie swój kielich i nawet uśmiechnął się niepewnie.

Wszystkie oczy spoczęły na nim.

Stary nauczyciel był do łez wzruszony życzliwą tą pamięcią dawnej swej uczennicy. Pośpiesznie wychylił swój kielich.

- O to stary człowiek - ciągnął dalej. - Oto samotny i nieznany krocę swoją drogą. Taki los mi przypadł. Nikt nie wie, co we mnie siedzi; ale też nikt nie słyszał

dotychczas ode mnie głosu niezadowolenia. Jak to się rzecz ma z turkawką? Czy panu wiadomo? Czy turkawka nie jest ową wielką melancholiczką, która zanim się napije, w pierw zmacić musi źródółko czyste i jasne?

- Nie wiedziałem o tym.

- Ano. Ale tak jest. I tak samo ja robię. Nie dostałem tej, którą powinienem był

posiąść, lecz mimo to nie jestem znów tak ubogi w radości życia. Ale ja mączę je, ustawicznie je mączę. Gdyż wtedy jedynie nie może zawładnąć mną rozczarowanie.

Oto na przykład Wiktoria. Przed chwilą piła moje zdrowie. Byłem jej nauczycielem; teraz ma wyjść za mąż, i to raduje mnie, na myśl o tym odczuwam osobiste wręcz szczęście, jak gdyby moją własną była córka. Kto wie, teraz może będę nauczycielem jej dzieci. Tak, istnieją naprawdę różne jeszcze w życiu radości. Ale to, co pan powiedział o litości i kobiecie, i ugiętym karku, to im więcej o tym myślę, tym więcej przyznaję panu słuszności. Dalibóg, pan ma słuszność... Przepraszam pana na chwilę. Podniósł się, wziął kieliszek i podszedł do Wiktorii. Chwiał się już cokolwiek na nogach.

Wygłoszono wiele toastów, porucznik mówił, ziemianin z sąsiedztwa wznosił toast na cześć pani domu. Nagle wstał ów pan ze spinkami brylantowymi i z ust jego padło nazwisko Janka. Upoważniono go do wzniesienia toastu w imieniu młodzieży na cześć młodego poety. Były to same serdeczne słowa, szczerza podzięką rówieśników, pełna uznania i podziwu.

Janek swym uszom nie wierzył. I szeptem zapytał o coś nauczyciela.

Nauczyciel odpowiedział:

- Tak, uprzedził mnie. Ja sam chciałem to zrobić, Wiktoria prosiła mnie o to już dzisiaj rano.

- Co pan mówi, kto pana prosił?

Nauczyciel spojrzał na niego.

- Nikt - rzekł.

Podczas toastu oczy wszystkich spoczęły na Janku, nawet pan zamku skinął ku niemu i pani szambelanowa przyłożyła do oczu lorgnon i przyglądała mu się.

Wszyscy wzniesli kielichy.

- No, odpowiedzże pan na tę mowę - rzekł nauczyciel. - Stał przecież i toastował na cześć pana. To właściwie należało się starszemu w zawodzie. Oprócz tego nie godzę się z tym, co on mówił. Wcale nie.

Janek spojrzał w stronę Wiktorii. A więc to ona skłoniła pana z brylantowymi spinkami do wzniesienia toastu; w jakim celu to uczyniła? Najpierw zwróciła

się z tym do innego, rano już nosiła się z tym planem; w jakim celu? Teraz siedzi tam i patrzy przed siebie, a twarz jej nie zdradza niczego.

Wtem głębokie jakieś i silne wzruszenie przysłania mu oczy, do nóg jej chciałby się rzucić i dziękować, chciałby jej dziękować. Uczyni to później, po obiedzie.

A tam siedzi Kamila, rzuca słowa na prawo i lewo i śmieje się. Jest szczęśliwa radością swych siedemnastu lat. Kilka razy już kiwała na Janka i dawała mu znak, ażeby przemówił.

Wstał.

Mówił krótko głosem głębokim i wzruszonym: Podczas uroczystości, w której dom ten święci zdarzenie tak radosne, wydobyto i jego - całkiem obcego - z ustroni.

Pragnie podziękować tej, która pierwsza ten uprzejmy pomysł powzięła, oraz temu, który mu tak wiele słów miłych powiedział. Lecz jednocześnie nie może pominąć tej życzliwości, z jaką całe towarzystwo słuchało pochwał głoszonych pod adresem jego

- całkiem tu obcego. Jedyńm uprawnieniem, jakie by w ogóle posiadał do uczestniczenia w tej uroczystości, może być to tylko, że jest synem sąsiada zamkowego z lasu...

- Tak jest! - zawołała nagle Wiktoria z rozgorzałymi oczyma.

Wszyscy spojrzeli na nią, była cała w płomieniach, a pierś jej falowała.

Janek urwał w pół zdania. Nastąpiła przykra cisza.

- Wiktorio?! - rzekł pan domu zdumiony.

- Mów pan dalej! - zawołała ponownie. - To jest jedyne pańskie uprawnienie; ale mów pan dalej! - Potem nagle zagasły płomienie jej oczu, poczęła uśmiechać się bezradnie i potrząsnęła głową. Następnie zwróciła się do ojca i rzekła:

- Miałam na myśli tylko przesadę: Przecie on sam przesadza. Nie, nie chciałam przeszkadzać...

Janek słyszał to wyjaśnienie i znalazł drogę wyjścia; serce jego uderzało jakby młotem. Zauważył, że pani domu patrzy na Wiktorię ze łzami w oczach i z bezgraniczną pobłażliwością.

Owszem, dopuścił się przesady - podjął na nowo swoją przemowę. - Panna Wiktoria ma słuszość. Była tak uprzejma i przypomniała mu, że jest nie tylko synem sąsiada, lecz nadto jest także towarzyszem zabaw młodzieży zamkowej z lat dziecięcych i tej to okoliczności przede wszystkim

zawdzięcza swoją obecność na dzisiejszej uroczystości. Przeto dziękuje jej; taki jest istotny stan rzeczy. Czuje się tu jak w domu, lasy zamkowe były mu niegdyś całym światem, poza którym błękitniała kraina nieznaną, baśń. W onych jednak czasach często Ditlef i Wiktorina dawali mu znać, iż pragną jego towarzystwa w wycieczce jakiej lub w jakiej zabawie, to były owe wielkie zdarzenia czasu jego dzieciństwa. Później, kiedy o tym rozmyślał, przekonał się, że te chwile miały w życiu jego pewne znaczenie, którego nikt nie przeczuwał, i jeżeli tak naprawdę jest, jak tu przed chwilą powiedziano, że to, co napisał, mogło wystrzelić czasami płomieniem, to miało to swój powód w tym, że właśnie wspomnienia owych czasów zapalały go; był to odblask szczęścia, które dali mu oboje towarzysze lat dziecięcych. Przeto i oni mają swój wielki udział w tym, co stworzył. Do ogólnych życzeń z okazji zaręczyn pragnie on dodać osobistą podziękę obojgu, Wiktorii i Ditlefowi, podziękę za owe piękne lata dzieciństwa, kiedy to nie dzieliły ich jeszcze ani czas, ani świat, za ów radosny, krótki dzień letni...

Mowa skończona, towarzystwo wychyla kielichy, przystępuje do dalszego jedzenia i na nowo nawiązuje rozmowę. Ditlef, zwrócony do swej matki, rzuca suchą uwagę:

- Wcale nie wiedziałem, że to ja właśnie pisałem jego książki, co?

Ona jednak nie śmiała się. Trąciła kielich ze swymi dziećmi i rzekła:

- Dziękujcie mu, dziękujcie. Było to całkiem zrozumiałe; tak samotny jak on był jako dziecko... Wiktorio, co robisz?

- Tę gałązkę bzu chciałam mu posłać z podziękowaniem. Czy to nie wypada?

- Nie - odparł porucznik.

Po obiedzie towarzystwo rozproszyło się w przyległych pokojach na dużej werandzie, a nawet na dole w ogrodzie. Janek zszedł na dół i znalazł się w dużej oranżerii. Zastał tam trochę gości, kilku panów palących, właściciela ziemskiego i jeszcze kogoś, kto rozprawiał głośno o stosunkach finansowych dziedzica zamku.

Ziemia jego zaniedbana, zachwaszczona, płoty poobalane, lasy przetrzebione; trudno mu nawet - jak powiadają - zapłacić składki ubezpieczeniowej za dom i meble, oszacowane zdumiewająco wysoko.

- A jak wysoko się ubezpieczył?

Właściciel ziemski wymienił jakąś sumę, uderzająco wysoką.

Zresztą w zamku nigdy nie oszczędzano, szastano zawsze wielkimi kwotami.

Ile na przykład kosztował taki obiad! Teraz jednak wyczerpało się podobno wszystko, wywędrować miały nawet kosztowności ze sławnej szkatuły

dziedziczki; pieniądze zięcia mogą przywrócić dawną świetność.

- Ile on może mieć?

- Och, on ma tak olbrzymie pieniądze, że...

Janek wstał i wyszedł do ogrodu. Bez kwitnął, owionęła go fala zapachu pierwiosnków, narcyzów, jaśminu i konwalii. Wyszukał sobie zakątek niżej przy murze i usiadł na kamieniu; zasłaniał go krzak. Znużony był wzruszeniem, śmiertelnie znużony, mózg miał jakby zamroczony; myślał nad tym, ażeby wstać i pójść do domu, mimo to pozostał na miejscu ogłuszony i ospały. Wtem zza ścieżki dochodzą go jakieś odgłosy, ktoś się zbliża, poznaje głos Wiktorii. Wstrzymuje oddech i czeka chwilę, oto i mundur porucznika błyska zza gęstwiny. Narzeczeni przechadzają się.

- Uważam - mówi porucznik - że tu coś niedobrego się święci. Tak dziwnie nasłuchiwałaś jego przemowy, siedziałaś tam i chłonełaś każde jego słowo, i nagle krzyknęłaś. Co to wszystko miało znaczyć?

Ona staje i prostuje się przed nim wyniośle.

- Chcesz wiedzieć? - zapytuje.

- Tak!

Ona milczy.

- Zresztą jest mi to obojętne. Jeżeli to nic ważnego - ciągnie porucznik - możesz nie mówić.

Ona znowu się załamuje.

- Nie, to nic ważnego - odpowiada.

Idą dalej. On szarpie nerwowo szlify i mówi podniesionym głosem:

- Niech on się ma na baczości. Ręka oficera bowiem mogłaby mu łatwo natrzeć uszu.

Skęcili w stronę altany.

Janek siedział jeszcze jakiś czas, ogłuszony i zrozpaczony jak przedtem.

Wszystko poczynało mu być obojętne. Porucznik powziął przeciwko niemu podejrzenie, a jego narzeczona zdała mu sprawę natychmiast. Powiedziała tyle, ile powiedzieć musiała, uspokoiła serce wojskowego i poszła z nim dalej. A nad nimi w koronach drzew paplały szpaki. Owszem. Niechaj Bóg da im zdrowie i długie życie...

Podczas obiadu toastował na jej cześć i serce swoje rwał na strzępy; dużo go to kosztowało, ażeby naprawić bezczelny jej wyskok i upozorować, a ona mu

za to nawet nie podziękowała. Sięgnęła tylko po kielich i piła. Zdrowie pana, popatrz pan, jak ślicznie ja piję... W ogóle warto przyjrzeć się kobiecie z boku, kiedy pije. Należy zachęcić ją do picia z filiżanki, kieliszka lub jakiego bądź naczynia po to tylko, żeby się jej z boku przyjrzeć. Zgroza, jak się kryguje. Krzywi usta i dolny brzeżek macza w napoju, i jest zrozpaczona, jeśli podczas tego obserwuje się jej rękę. W ogóle nie należy patrzeć kobiecie na rękę. Ona tego nie znosi, kapituluje natychmiast.

Przyciąga zaraz rękę do siebie, układa ją w pozie coraz piękniejszej, czyni wszystko, aby tylko ukryć jakąś zmarszczkę lub jaki brzydki paznokieć. Wreszcie nie może już dłużej wytrzymać, przeto pyta silnie rozdrażniona: na co pan właściwie tak patrzy?

Niegdyś go całowała, niegdyś latem. To już tak dawno, Bóg jeden wie, czy to w ogóle była prawda. Jakże to było, czy nie siedzieli wtedy na jakiejś ławce?

Rozmawiali z sobą długo, a gdy szedł obok niej, dotykał jej ramienia. Przed czyimiś drzwiami pocałowała go: „Kocham pana!”, powiedziała. Teraz oto przeszli i siedzą może jeszcze w altanie. Porucznik chciałby go w twarz uderzyć, tak powiedział.

Słyszał to doskonale, nie spał, ale i nie podniósł się, nie wystąpił naprzód. „Ręka oficera”, powiedział. Tak, ale to mu tak obojętne...

Wstał ze swego kamienia i udał się za nimi, do altany. Była pusta. Na górze, na werandzie zamkowej stała Kamila i wołała na niego: - Proszę przyjść! W oranżerii podano kawę!

Usłuchał jej. Narzeczeni siedzieli w oranżerii; byli tam i inni. Zabrał swoją kawę, cofnął się i wyszukał sobie miejsce na uboczu.

Kamila nawiązała z nim rozmowę. Oblicze jej było tak pogodne i patrzała na niego oczami tak łagodnymi, że nie zdołał się oprzeć, rozmawiał z nią, odpowiadał

na jej pytania i śmiał się. Gdzież on właściwie przebywał? W ogrodzie? To nieprawda, szukała go tam i nie spotkała. Nie, nie, w ogrodzie na pewno go nie było.

- Wiktorio, czy on był w ogrodzie?

- Nie, nie spotkałam go - odpowiada Wiktorina.

Porucznik obrzuca ją gniewnym spojrzeniem i żeby ostrzec swoją narzeczoną, woła przesadnie głośno na cały pokój do obywatela ziemskiego.

- Czy się mylę, że pan chciał mnie zabrać ze sobą na bekasy?

- Ależ proszę bardzo - odpowiada obywatel.

- Będzie mi pan miłym gościem.

Porucznik przygląda się Wiktorii. Ona milczy i siedzi nieporuszona jak przedtem, nie wstrzymuje go bynajmniej od polowania na bekasy. Twarz jego zachmurza się coraz więcej, ruchem nerwowym przygląda węża.

Kamila zwraca się znowu do Wiktorii z jakimś pytaniem.

Porucznik zrywa się i mówi do obywatela:

- Dobrze, w takim razie dziś wieczorem jadę z panem. - Powiedziawszy to, wybiega z pokoju. Obywatel ziemski i jeszcze kilku panów wychodzą za nim.

Powstała chwila ciszy.

Nagle otwierają się drzwi i porucznik wpada z powrotem. Jest po prostu wściekły.

- Czyż zapomniał czego? - pyta Wiktorii i wstaje.

On stoi przy drzwiach i podryguje w miejscu jak oparzony, i wreszcie idzie wprost w stronę Janka, a przechodząc jednocześnie trąca go ręką. Po czym biegnie z powrotem ku drzwiom i znowu podryguje w miejscu.

- Człowieku, ruszajże się przecie ostrożniej, uderzyłeś mię pan w oko - odzywa się Janek i śmieje się głucho.

- Mylisz się pan - odpowiada porucznik. - Ja dałem panu w twarz.

Rozumiesz pan? Rozumiesz pan?

Janek dobył chusteczkę, przykłada ją do oka.

- Takiego zamiaru pan z pewnością nie miał.

Pan wie przecie, że mógłbym pana złożyć we dwoje i schować do kieszeni. - Podniósł się.

Wówczas porucznik otworzył drzwi i zniknął.

- A właśnie miałem taki zamiar! - krzyknął jeszcze do środka. - Miałem taki zamiar, bydlę!

I z hukiem zatrzęsnał drzwi.

Janek zasiadł z powrotem.

Wiktorii stała mniej więcej na środku pokoju. Spojrzała na niego i była blada jak śmierć.

- Czy uderzył pana? - zapytała Kamila z największym zdumieniem.

- Przez przypadek. Trącił mię w oko. Niech pani spojrzysz.

- Boże mój, całe czerwone, nabiegłe krwią. Nie trzymaj pan, zrobię okład z wody.

Pańska chusteczka jest za gruba; dam panu swoją. Czy widział kto coś podobnego, w samo oko!

I Wiktoria zaofiarowała swoją chusteczkę. Nie: powiedziała ani słowa. Potem bardzo powolnym krokiem zbliżyła się do szklanych drzwi, gdzie zatrzymała się zwrócona tyłem do pokoju. Chusteczkę swoją darła w strzępki. Po kilku minutach otworzyła drzwi i wyszła, cicha i milcząca.

9.

Wesoło i swobodnie zdążyła Kamila w stronę młyna. Była sama. Śmiało weszła do izdebki i rzekła z uśmiechem:

- Przepraszam bardzo, że weszłam bez pukania. Ale powiedziałam sobie: młynówka huczy tu tak strasznie, że moje pukanie na nic się nie zda.

- Rozejrzała się dokoła i zawołała: - Ach, jak tu ślicznie! Prześlicznie!

A gdzie Janek? Ja znam Janka. Jakże z jego okiem?

Podano jej krzesło; usiadła.

Janka przywołano z młyna. Oko ma zapuchnięte i nabiegłe krwią.

- Przyszłam z własnej woli - zawołała Kamila do wchodzącego Janka - bo wzięła mię wielka ochota. Ale pan powinien w dalszym ciągu zmieniać zimne okłady.

- Ach, to zbyt uczte - odparł. - Ależ, na miły Bóg, czemu mam do zawdzięczenia wizytę pani? Czy chciałaby pani młyn zwiedzić? Dziękuję pani serdecznie, że pani była tak łaskawa i przyszła. - Jednocześnie objął matkę swoją w pól i przedstawił ją, mówiąc: - Oto matka moja.

Udali się do młyna. Stary młynarz zdjął z uszanowaniem czapkę i powiedział coś. Kamila nie zrozumiała, ale uśmiechnęła się i odpowiedziała na chybił trafił:

- Dziękuję, dziękuję. Owszem, pragnęłabym bardzo zobaczyć.

Łoskot ją zastraszał, trzymała więc Janka za rękę i dużymi, uważnymi oczyma wpatrywała się w obu mężczyzn, czy nie powiedzą czego. Wyglądała tak, jakby oślepnęła. Liczne koła i kółka oraz całe urządzenie młyna wprowadziło ją w zdumienie, śmiała się, potrząsała w zachwycie ręką Janka i wskazywała na wszystkie strony.

Młyn zatrzymano i znowu w ruch puszczono, ażeby mogła zobaczyć wszystko.

Po wyjściu z młyna Kamila przez dłuższą chwilę rozmawiała tak śmiesznie głośno, jak gdyby łoskot wciąż jeszcze huczał w jej uszach.

Janek towarzyszył jej w drodze powrotnej.

- Czy może się to pomieścić w głowie pańskiej, że on uderzył pana w oko?

- rzekła. - Lecz potem też zniknął całkiem niespodzianie, pojechał z obywatelem ziemskim na polowanie. Strasznie to niemiła historia. Wiktoria całą noc oka nie zmrużyła opowiadała.

- W takim razie może sobie to powetować nocy dzisiejszej - odparł. - A pani kiedy przypuszczalnie wraca do miasta?

- Jutro. A pan?

- Na jesieni. Czy dziś po południu mógłbym się z panią spotkać?

Kamila wybuchła:

- Oczywiście, proszę bardzo! Niegdyś opowiadał mi pan o jakiejś swej jaskini, musi mi ją pan pokazać, koniecznie.

- Przyjdę po panią - rzekł.

Wracając do domu, spoczął na jakimś kamieniu i pogrążył się w głębokiej zadumie. Jakaś myśl ciepła i szczęśna w nim zawitała.

Po południu udał się do zamku, zatrzymał się na dziedzińcu i polecił uwiadomić Kamilę. A kiedy tak stał i czekał, w jednym z okien pierwszego piętra pojawiła się na chwilę Wiktoria; wlepiała w niego wzrok, odwróciła się i znikła w głębi pokoju.

Kamila zbiegła na dół. Zaprowadził ją do kamieniołomu i do jaskini. Czuł się niezwykle spokojny i szczęśliwy. Dziewczę wywierało na niego wpływ kojący, jej słowa szczerze i swobodne fruwały dokoła niego w kręgu błogosławionym.

Dobre duchy sprzyjały mu dziś...

- Przypominam sobie, że niegdyś ofiarowała mi pani sztylecik. Sztylet w pochwie srebrnej. Złożyłem go do jakiegoś pudła wraz z innymi rzeczami, ponieważ nie był mi potrzebny.

- Nie był panu potrzebny, a co się z nim stało?

- Co? Zgubiłem go.

- Ach, to szkoda. Ale może mi się uda nabyć podobny w miejsce tamtego.

Spróbuję.

Wracali do domu.

- A czy przypomina sobie pani ów ciężki medalion, który mi pani swego czasu ofiarowała? Był ciężki, szczerozłoty i stał na podstawce. Wewnątrz medalionu umieściła pani kilka uprzejmych słów.

- Owszem, przypominam sobie.

W roku zeszłym, kiedy bawiłem za granicą, darowałem go.

- Ach, doprawdy? I pan go darował! I czemu pan to uczynił?

Darowałem go pewnemu młodemu koledze na pamiątkę. Był to Rosjanin.

Padł na kolana i dziękował mi za niego.

- Tak bardzo był uradowany? Ach, Boże, jestem przekonana, że radość jego była ogromna, skoro padł na kolana! Dam panu inny medalion, żeby go pan zatrzymał wyłącznie dla siebie.

Znaleźli się na drodze z młyna do zamku.

Janek przystanął i rzekł:

- Tu przy tym krzaku przeżyłem niegdyś dziwną chwilę. Pewnego wieczoru przechadzałem się tędy - w ówczesnej mej samotności przechadzałem się tu zresztą bardzo często - a było to lato i wieczór pogodny i jasny. Położyłem się za tym krzakiem i pogrążyłem w rozmyślaniach. Wtedy ujrzałem na drodze dwoje ludzi idących wolno, cicho i milcząco. Ona zatrzymała się. Towarzysz jej zapytał:

„Dlaczego pani nie idzie dalej?” Gdy jednak nie otrzymał odpowiedzi, wtedy zapytał

ponownie: „Co się pani stało?” „Nic”, odparła, „ale pan nie powinien tak na mnie patrzeć”. „Ja tylko spojrzałem na panią”, rzekł. „Tak”, odpowiedziała, „ja wiem przecie, że pan mnie kocha, ale ojciec nie pozwala, rozumie pan, to jest niemożliwe”.

- „Tak, to pewnie jest niemożliwe”, mruknął w odpowiedzi. Nagle ona zauważyła:

„Jakże szeroką ma pan rękę; pan ma ręce tak szczególnie szerokie w przegubie!” I objęła jego napiętek.

Milczenie.

- Hm, a co potem nastąpiło? - zapytała Kamila.

- Nie wiem - odparł Janek. - Ale co mogła mieć na myśli, mówiąc o szerokim przegubie ręki?

- Może jej się podobały jego ręce. No i białe na nich mankiety, ach, owszem, rozumiem to. Prawdopodobnie także go kochała.

- Kamilo - rzekł. - Gdybym ja panią kochał i gdybym czekał kilka lat, ja tylko pytam... Słowem, nie jestem godzien pani, ale jak pani przypuszcza, czy mogłabyś kiedyś zostać moją żoną, gdybym panią za rok albo za dwa lata o to poprosił?

Kamila zaczerwieniła się nagle i zmieszala całkowicie, kręci się niespokojnie w lewo i prawo i ręce bezradnie zaciska. On obejmuje ją w pól i pyta:

- Jak pani myśli, czy kiedyś mogłoby to nastąpić? Pragnie pani tego?

- Tak - Kamila przytuliła się do niego.

Następnego dnia odprowadza ją do przystani. Całuje jej rączki drobne, pełne wyrazu dziecięcej niewinności, i promienieje uczuciem radości.

Wiktorii nie było.

- Czemu cię nikt nie odprowadził?

Kamila z przerażeniem w oczach opowiada, iż na zamku straszna żałoba.

Dzisiaj rano nadszedł telegram, pan domu zbladł jak śmierć, stary szambelan i szambelanowa krzyknęli z rozpacz... Wczoraj wieczorem na polowaniu zastrzelono Otona.

Janek chwycił Kamilę za ramię.

- Nie żyje? Porucznik?

- Tak, są w drodze z jego ciałem. Straszne.

Poszli dalej, zamyśleni i milczący. Dopiero ludzie na pomoście, parowiec, nawoływania komendy zbudziły ich z zadumy. Kamila podała mu rękę nieśmiało, on ucałował ją i rzekł:

- Tak, Kamilo, nie jestem wart ciebie. Ale jeśli zechcesz być moja, okażę ci miłość tak wielką, na jaką tylko zdobyć się potrafię.

- Ja chcę być twoją. Pragnęłam tego zawsze.

- Przyjadę za tobą wkrótce - rzekł. - W ciągu tygodnia ujrzę cię znowu.

Stała na pokładzie. Kłaniał się jej, kłaniał się dopóty, dopóki ją widział. A kiedy się odwrócił, aby udać się w drogę powrotną, stanął oko w oko z Wiktorią; i ona powiewała chusteczką na pożegnanie Kamili.

- Spóźniłam się nieco - rzekła.

Nie odpowiedział. I cóż zresztą miałby powiedzieć? Miałbyż pocieszać ją z

powodu jej straty, składać kondolencje, dłoń uścisnąć? Głos jej był bezdźwięczny i udręka wyzierała z jej twarzy; wielkie cierpienie wycisnęło na niej swe ślady.

Ludzie z pomostu rozeszli się.

- Oko pańskie wciąż jeszcze zaczerwienione - powiedziała odchodząc.

Obejrzała się za nim. Stał w miejscu.

Wtedy zawróciła nagle i przystąpiła do niego.

- Oton nie żyje - rzekła twardo, a oczy jej płonęły. - Pan milczy, pan taki rozważny. On był tysiąc razy lepszy od pana, słyszy pan? Czy pan wie, jaką śmiercią on zginął? Zastrzelono go, całą głowę ma roztrzaskaną, całą tę miłą, głupią główkę.

On był tysiąc razy...

Wybuchnęła płaczem i podążyła do zamku.

Późnym wieczorem ktoś puka do izby młynarza; Janek otwiera drzwi.

Wiktoria stoi na dworze i kiwa na niego. Podchodzi do niej. Chwyta go gwałtownie za rękę i prowadzi na drogę; dłoń jej jest zimna jak lód.

Niechże pani spocznie - odzywa się Janek. - Niechże pani usiądzie i wypocznie nieco, taka pani zdenerwowana.

Siadają.

Ona mówi głosem stłumionym:

Co pan o mnie pomyśli, nigdy panu spokoju nie dam!

- Pani jest bardzo nieszczęśliwa - odpowiada Janek. - Teraz musi mnie pani usłuchać i uspokoić się, Wiktorio. Czy mogę pani pomóc?

- Na miłość boską, przebacz mi pan to, com powiedziała dziś rano! - błaga. -

Tak, bardzo jestem nieszczęśliwa, od wielu lat jestem nieszczęśliwa.

Powiedziałam, że on był tysiąc razy lepszy od pana; to nieprawda, przebacz mi pan! Nie żyje i był

moim narzeczoną, to wszystko. Czy pan sądzi, że to się stało według mojej woli?

Janku, widzi go pan? To mój pierścionek zaręczynowy, otrzymałam go dawno, bardzo, bardzo dawno; teraz odrzucam go, odrzucam daleko! - I rzuca pierścień daleko od siebie, w gęstwinę lasu, i upadek jego słyszą oboje. - Tego chciał: ojciec, ojciec jest biedny, jest nędzarzem, a Oton otrzymałby kiedyś bardzo dużo pieniędzy.

„Musisz to uczynić”, oświadczył mi ojciec. „Nie chcę”, odpowiedziałam. „Pamiętaj o swych rodzicach”, powiedział na to, „pamiętaj o zamku, o naszym starym nazwisku rodowym, miej wzgląd na mój honor”. „Owszem”, powiedziałam, „w takim razie godzę się, poczekaj trzy lata, lecz godzę się”. Ojciec dziękował mi i czekał. Oton czekał, wszyscy czekali; lecz pierścionek wręczono mi zaraz. Potem dużo minęło czasu i przekonałam się, że wszystko na nic. Na co jeszcze dłużej czekać? „Sprowadź

mi teraz mego męża”, oświadczyłam ojcu. „Niech cię Bóg błogosławi”, powiedział i dziękował mi ponownie za to, na co się zdecydowałam. A potem przyjechał Oton.

Nie poszłam witać go na pomoście, stałam w mym oknie i widziałam, jak zajeżdżał

na dziedziniec zamkowy. Wtedy pobiegłam do matki i rzuciłam się przed nią na kolana. „Co tobie, moje dziecko?”, zapytała. „Nie mogę”, powiedziałam, „nie, nie mogę wyjść za niego, on przyjechał, jest tam na dole; czy nie wolelibyście ubezpieczyć mnie na życie, w takim razie rzuciłabym się do stawu albo w młynówkę, to byłoby lepsze dla mnie”. Matka zbladła i rozplakała się nade mną.

Nadchodzi ojciec. „A więc, kochana Wiktorio, teraz musisz zejść na dół i powitać go”, tak powiedział. „Nie mogę, ja nie mogę!”, wołam i powtarzam te same słowa, co przedtem, ażeby miał litość nade mną i ubezpieczył mnie na życie. Ojciec nie odpowiada, jeno się w krzesło osuwa i poczyną drżeć. Zobaczywszy to, rzekłam:

„Sprowadź mi mego męża; wyjdę za niego”.

Wiktorio umilkła. Jest rozdygotana. Janek ujmuję i drugą jej rękę i rozgrzewa ją.

- Dziękuję - rzekła. - Janku, bądź pan tak dobry i uściśnij moją rękę całkiem mocno! Bądź pan tak dobry i zrób to! Boże, jaki pan gorący! Tak wdzięczna jestem panu. Lecz to, co powiedziałam na pomoście, musi mi pan wybaczyć.

- Tak, to już dawno zapomniane. Czy mam przynieść pani szal?

- Nie, dziękuję panu. Ale nie pojmuję, czemu tak drzę, głowę mam rozpaloną.

Janku, tyle spraw jest, za które winnam pana przebłagać...

- Nie, nie, to niepotrzebne. Tak, teraz zaczyna się pani uspokajać. Niech pani siedzi cicho.

- Pan wygłosił mowę na moją cześć. Od chwili, kiedy pan się podniósł, aż do chwili, kiedy pan z powrotem usiadł, nie wiedziałam, co się ze mną dzieje; słyszałam tylko głos pański. Brzmiał jak organy i doprowadzało mnie do

rozpaczy to, że mnie tak olśniewał. Ojciec zapytywał mnie, czemu wybuchłam wtedy takim krzykiem i przerwałam panu toast. Bardzo mu było przykro. Lecz matka nie pytała mnie, ona domyśliła się. Powiedziałam jej wszystko, przed wielu laty jej powiedziałam, a powtórzyłam przed dwoma laty, po powrocie z miasta. Kiedy pana spotkałam.

- Nie wspominajmy już o tym.

- Nie, ale przebacz mi pan, słyszy pan, miej litość nade mną! Cóż ja pocznę na tym świecie? Ojciec tam w domu taki teraz udęczony, chodzi w swym gabinecie tam i z powrotem, to taki cios dla niego. Jutro niedziela; wydał dyspozycję, że jutro wszyscy ludzie mają mieć wolne, to jedyna jego dzisiejsza dyspozycja. Twarz mu poszarzała i wciąż milczy, tak silnie podziała na niego śmierć zięcia. Powiedziałam matce, że chciałabym pójść do pana. „My obie, ty i ja, musimy odwieźć jutro szambelanostwo do miasta”, odpowiedziała. „Idę do Janka”, powtórzyłam. „Ojciec nie ma tyle pieniędzy dla nas wszystkich, dlatego chce pozostać w domu”, odpowiedziała i mówiła o innych sprawach. Wtedy podeszłam do drzwi. Matka patrzyła na mnie. „Teraz idę do niego”, powiedziałam po raz ostatni. Matka przystąpiła do mnie i pocałowała mnie, i rzekła: „Dobrze więc, niechaj wam Bóg błogosławi”.

Janek puścił jej rękę i rzekł:

- Tak, teraz już się rozgrzały.

- Dzięki stokrotnie, tak, teraz zupełnie się rozgrzałam... „Niechaj wam Bóg błogosławi”, powiedziała. Wszystko matce wyznałam, wiedziała o wszystkim od samego początku. „Ależ kogo więc kochasz, dziecko?”, spytała. „Czy można o to jeszcze pytać”, odparłam. „Kocham Janka, jego jednego w życiu kochałam, kochałam...”

Janek poruszył się nerwowo.

- Późno już. Czy nieobecność pani nie wywoła w domu zaniepokojenia, co?

- Nie - odparła. - Oni wiedzą, że pana kocham, Janku, zapewne i pan to zauważył? Przez wszystkie te lata tęskniłam za panem tak bardzo, że tego nikt, nikt nawet wyobrazić sobie nie może. Przechadzałam się tędy, tą ścieżką, i myślałam sobie: teraz zanurzę się w las, wzdłuż ścieżki, bo tamtędy on najchętniej się przechadzał. Tak. A onego dnia, kiedy usłyszałam, że pan przyjechał, ubrałam się całkiem jasno, w sukienkę jasnożółtą, chora byłam z napięcia i tęsknoty i bez celu biegałam po całym domu, z pokoju do pokoju. „Jakaś ty dzisiaj rozpromieniona!”, zauważyła matka. A ja błąkałam się po wszystkich pokojach i powtarzałam sobie ustawicznie: „Teraz znowu powrócił do domu! Jest znakomitością, a przecież powrócił, to coś znaczy!” Następnego dnia nie zdołałam się już opanować, ubrałam się znowu na jasno i

udałam się do kamieniołomu, żeby pana spotkać. Czy pan pamięta jeszcze? I spotkałam pana, lecz kwiatów nie zbierałam, ponieważ nie dla kwiatów tam poszłam. A pan, ujrawszy mnie, już się nie radował, mimo to dziękuję panu za owo spotkanie. Był to już trzeci rok, jak pana nie widziałam: Miał pan w ręce gałązkę i siedział pan tam, i uderzał się nią, zobaczywszy mnie; a gdy pan odszedł, gałązkę tę podniosłam i ukryłam, i zaniiosłam do domu...

- Tak, ale teraz, Wiktorio - odezwał się drżącym głosem - teraz nie powinna mi pani o tym mówić.

- Nie - odparła z lękiem i ujęła go za rękę. - Nie, nie powinnam. Tak, pan zapewne nie chce o tym słuchać. - Poczęła głaskać nerwowo jego dłoń. - Tak, bo nie powinnam się łudzić, iż pan mógłby chcieć. A nadto przyczyniłam panu tyle cierpień. Czy z czasem nie mógłby mi pan przebaczyć, czy nie wierzy pan w to, że mógłbyś mi kiedyś przebaczyć?

- Tak, owszem, wszystko. Ale nie o to chodzi. - A o co w takim razie?

Milczenie.

- Zaręczyłem się - odpowiedział.

10.

Nazajutrz, w niedzielę, pan zamku we własnej osobie przybył do młynarza z prośbą, ażeby stawił się około południa i zawiózł zwłoki porucznika Otona do przystani, na parowiec. Młynarz nic z tego nie rozumiał i wybałuszył na niego oczy; pan zamku wytłumaczył mu jednak, że wszystka jego służba ma dziś święto, wszyscy poszli do kościoła, nikogo nie ma w domu.

Przez całą noc zapewne oka nie zmrużył, wyglądał jak trup, a na domiar był nie ogolony. Mimo to w zwykły swój sposób wywijał laseczką i trzymał się prosto.

Młynarz ubrał się w najlepszy swój kaftan i udał się do zamku. Kiedy konie już zaprzągł, dziedzic pomógł mu osobiście przy umieszczeniu zwłok na wozie.

Wszystko to dokonywało się po cichu, nieomal tajemniczo.

Młynarz jechał w stronę pomostu. Za nim podążali szambelan i szambelanowa, a oprócz nich pani zamku i Wiktorio. Wszyscy szli pieszo. Pan zamku pozostał sam na stopniach tarasu i kłaniał się wiele razy: wiatr targał siwe jego włosy.

Kiedy zwłoki wnoszono na pokład, towarzystwo postępowało za nimi. Pani zamku zawołała jeszcze do młynarza, ażeby pozdrowił pana zamku, i Wiktorio prosiła go również o to.

I statek ruszył niebawem. Młynarz długo jeszcze tam stał i poglądał za nim.

Wiatr dął silny i morze było mocno wzburzone; kwadrans minął, zanim statek zniknął za wyspami. Młynarz pojechał z powrotem do zamku.

Wprowadził konie do stajni, dał im obroku i zamierzał wejść do zamku, żeby spełnić zlecenie pań. Tymczasem drzwi do kuchni zastał zamknięte. Obszedł dom dokoła, żeby dostać się wejściem głównym; ale i główne drzwi były zawarte.

„Południe już i pan śpi zapewne”, pomyślał sobie. Ponieważ jednak był człowiekiem obowiązkowym, spełniającym zawsze przyjęte na siebie zlecenia, przeto udał się do czeladni, ażeby tam kogo odszukać i przekazać panu pozdrowienia. Jednak nie zastał żywej duszy. Wyszedł więc znowu, szukał wszędzie, zaszedł nawet do babińca. Ale i tu nie było nikogo. Dwór jak wymarły.

I właśnie zamierzał już odejść, gdy nagle dostrzegł błysk światła w piwnicy zamkowej. Przystanął. Przez małe zakratowane okienko widział wyraźnie mężczyznę, który ze świecą w jednej ręce, a z czerwonym wyściełanym krzesłem w drugiej ręce wchodził do piwnicy. Był to pan zamku. Ogolony i w czarnym fraku, jak gdyby wybierał się na jaką uroczystość. „A może zapukać do okna i powiedzieć, że panie kazały pozdrowić”, pomyślał młynarz, ale się nie ruszył.

Pan zamku obejrzał się, świecą powiódł dookoła i jeszcze raz się obejrzał.

Przeciągnął jakiś wór wypchany, zdaje się, sianem lub słomą i ułożył go tuż przy drzwiach. Potem polał go jakimś płynem z blaszanki. Następnie przywłókł do drzwi skrzynie i pudełka, słomę i żardynierkę drewnianą i to także polał płynem z blaszanki; młynarz zauważył przy tym, że spełniał to wszystko z wielką starannością, ażeby nie zawalać ani palców, ani ubrania. Wyjął z kieszeni ogarek świecy, zapalił i umieścił na worku, otoczywszy go zewsząd jak najszczelniej słomą.

Po czym spoczął w krześle.

Młynarz przyglądał się tym przygotowaniom z wzrastającym przerażeniem; oczu wręcz nie mógł oderwać od zakratowanego okienka, a w duszę jego jakieś ponure wsączało się przecucie. Pan zamku siedział całkiem spokojnie i przyglądał

się topniejącemu coraz bardziej ogarkowi; siedzi z rękoma założonymi na piersiach.

Młynarz widzi teraz, jak pyłek jakiś strzepuje z swego rękawa i ponownie ręce na piersiach zakłada.

Z piersi starego młynarza wydziera się krzyk.

Pan zamku odwraca głowę i patrzy w okienko. Nagle zrywa się i przybiega pod samo okienko, stoi i patrzy w górę. Było to spojrzenie, w którym odbiły się wszystkie cierpienia świata. Usta jego dziwacznie wykrzywione, obie pięści zaciśnięte wznosi ku okienku, groźnie, milcząco; w końcu tylko jedną jeszcze ręką grozi i cofa się w głąb piwnicy. A kiedy o krzesło trącił, ogarek się przewrócił. W

górze wystrzelił potężny płomień.

Młynarz wybucha strasznym krzykiem i wypada na dziedziniec.

Nieprzytomny z przerażenia, pędzi bez celu po dziedzińcu i jest całkiem bezradny.

Biegnie z powrotem do okienka piwnicy, wybija szybę i krzyczy; potem pochyla się, dłońmi chwyta za sztaby żelazne i szarpie nimi, gnie je i wrywa.

Wtem słyszy głos jakiś z piwnicy, głos bez słów, jęk jakby żywcem pogrzebanego, jęk okropny rozlega się raz i drugi i młynarz, nagłym owładnięty lękiem, ucieka przez dziedziniec, wzdłuż drogi, do domu. Nie miał odwagi obejrzeć się.

Kiedy po kilku minutach powrócił z Jankiem,¹ cały zamek, ten stary, wielki gmach drewniany, stał już w płomieniach. Również z pomostu przybiegło kilku ludzi, ale i oni nie zdołali nic poradzić. Stracone było wszystko.

Usta młynarza jednak milczały jak grób.

11.

Zapyta kto, czym jest miłość? Oto niczy więcej nad wietrzyk, który w różach zaszeleści a potem ucichnie. Często jednak bywa jako pieczęć niezłomna, która trwa przez życie całe, a nawet i poza grób sięga. Wiele rodzajów miłości stworzył Bóg i widział ich trwałość lub kruchość.

Dwie matki kroczą drogą i rozmawiają z sobą; jedna ubrana jest w suknie jasne, błękitne, ponieważ umiłowany jej powrócił z podróży. Druga jest w żałobie.

Miała ona trzy córki, dwie brunetki, a trzecią jasnowłosą, i ta właśnie jasnowłosa umarła. Dziesięć lat już minęło od jej śmierci, dziesięć pełnych lat, a matka wciąż jeszcze chodzi w żałobie.

- Jakże cudnie dziś! - raduje się matka w sukni błękitnej i klaszcze w dłonie. -

Upaja mnie ciepło, miłość mnie upaja, jestem pełna szczęścia. Mogłabym tu na drodze rozebrać się, wyciągnąć ramiona do słońca i całować je.

Lecz matka w żałobie jest cicha, nie uśmiecha się i nie odpowiada.

- Czy wciąż jeszcze smucisz się z powodu swej córki? - pyta błękitna w czystości swego serca. - Czyż to nie dziesięć lat, jak umarła?

Żałobnica odpowiada:

- Tak, teraz miałyby lat piętnaście.

Na to powiada błękitna, żeby ją pocieszyć:

- Wszakże pozostały ci jeszcze dwie córki.

Żałobnica szlocha:

- Tak. Ale żadna z nich nie jest jasnowłosa. Tamta, co umarła, była jaśniuteńka.

I obie matki rozstają się, i każda idzie swoją drogą, każda ze swoją miłością...

Lecz obie te córki ciemnowłose miały też swoją miłość i obie kochały jednego.

Przyszedł on do starszej i rzekł:

- Pragnąłbym zasięgnąć rady pani, gdyż kocham pani siostrę. Wczoraj sprzeniewierzyłem się jej, zaskoczyła mnie w chwili, kiedy w drzwiach domu całowałem służącą państwa; krzyknęła cicho, był to raczej jęk, i przeszła mimo. Co teraz mam począć? Ja kocham siostrę pani; na Boga, pomów pani z nią i pomóż mi!

I starsza zbladła, i chwyciła się za serce; ale uśmiechała się, jak gdyby chcąc mu błogosławić.

- Pomogę panu - odparła.

Następnego dnia poszedł do młodszej i rzucił się przed nią na kolana, i wyznał jej miłość.

Zmierzyła go od stóp do głów i rzekła:

- Nie mam już, niestety, żadnej dziesięciokoronówki do rozdania, jeżeli pan to ma na myśli. Ale zwróć się pan do mej siostry, ona ma więcej.

To powiedziawszy, odeszła od niego z głową dumnie podniesioną.

Gdy jednak znalazła się w swym pokoju, rzuciła się na podłogę i załamywała ręce z miłości.

Zima i na ulicy zimno, mgła, kurzawa i wichura. Janek znajduje się znowu w mieście w dawnym swym pokoju, gdzie słyszy skrzypienie topoli o ścianę

drewnianą i gdzie z okna nieraz już witał szarzejący świt. Teraz słońce zginęło.

Praca pochłaniała mu cały czas, wszystkie te wielkie arkusze, które zapisywał i których przybywało coraz więcej i więcej, im więcej przybywało zimy. Była to wiązanka baśni z krainy fantazji, nieustająca, słońcem rozgorzała noc.

Dni jednak były różne, dobre i złe, niekiedy, gdy pracował z największym zapałem, nagle jakieś wspomnienie, dwoje oczu, jakieś słowo dawne potrafiło go ugodzić zniecka i stłumić gwałtownie jego nastrój. Wtedy wstawał i rozpoczynał

zwykłą swoją wędrówkę od ściany do ściany, tam i z powrotem; częste to były wędrówki, świadczył o tym biały ślad na podłodze z dniem każdym znaczniejszy:

„Dziś, nie mogąc pracować ani myśleć, ani opędzić się od wspomnień, siadam, ażeby spisać, com przeżył pewnej nocy. Miły Czytelniku, dzień dzisiejszy tak okrutnie dla mnie przykry! Śnieżyca szaleje na dworze, na ulicy ani ujrzeć człowieka, wszędzie smutek, a w duszy mojej taka przerażająca pustka. Godzinami całymi wałęsałem się po ulicy, a w końcu tu, w moim pokoju, błąkałem się z kąta w kąt i starałem się nieco skupić; teraz już popołudnie, a ze mną nic nie lepiej. Ja, co powinienem być gorący, jestem zimny i blady jak dzień zagasły. Miły Czytelniku, w takim stanie duszy spróbuję pisać o pewnej białej i wielce zajmującej nocy; ponieważ praca zmusza mnie do spokoju, przeto po upływie kilku godzin będę może znowu wesół...”

Ktoś puka do drzwi i młodzieńca Kamila Sejer, z którą zaręczył się potajemnie, wchodzi do pokoju. Janek odkłada pióro i wstaje. Oboje witają się z uśmiechem.

- Nie pytasz mnie wcale o bal - mówi Kamila zaraz na wstępie i rzuca się w krzesło. - Tańczyłam wszystkie tańce, bez przerwy. Do godziny trzeciej. Tańczyłam z Richmondem.

- Dziękuję ci, Kamilo, żeś przyszła. Taki mnie dziś smutek tłucze, a tyś taka wesoła; to mnie pokrzepi. A jakąż miałaś sukienkę na balu?

- Czerwoną, oczywiście. Ach, Boże, nie wiem, com mówiła, ale to pewne, że mówiłam dużo i dużo się śmiałam. Było tak cudnie. Tak, byłam w sukience czerwonej, bez rękawów, zupełnie bez rękawów. A Richmond jest w ambasadzie w Londynie.

- Aha.

- Rodzice jego są Anglikami, on jednak tu się urodził. Coś zrobił ze swymi

oczami? Takie zaczerwienione. Czyś płakał?

- Nie - odpowiada i śmieje się - ale zajrzałem do moich baśni, a tam tyle słońca. Kamilo jeśli chcesz zasłużyć na miano dobrej dziewczynki, to nie drzyj już więcej tego papieru.

- Ach, Boże, takam roztargniona. Wybacz mi.

- Nic nie szkodzi; to tylko kilka notatek. Ale powiedzże mi też: i różę pewnie miałaś we włosach?

- Ależ oczywiście. Różę purpurową, prawie czarną. Wiesz co, Janku, w naszą podróż poślubną moglibyśmy pojechać do Londynu. Tam wcale nie jest tak strasznie, jak opowiadają, i wymysł to pospolity, jakoby tam było tak mgliście.

- Kto to powiedział?

- Richmond. Mówił o tym na balu, a on przecie wie. Wszakże znasz Richmonda?

- Nie, nie znam go. Wzniósł kiedyś moje zdrowie; miał spinki brylantowe u koszuli. To i wszystko, co o nim wiem.

- Zachwycający człowiek, dosłownie. Ach, gdy się do mnie zbliżył, gdy się uklonił i powiedział: „Łaskawa pani nie poznaje mnie już zapewne”, wiesz co, tę różę ofiarowałam mu.

- Naprawdę to uczyniłaś? Którą różę?

- Tę, którą miałam we włosach. Dałam mu ją.

- Pewnie zakochałaś się w Richmondzie?

Ona czerwienieje i broni się skwapliwie:

- Broń Boże, wcale nie. Że też to nie można nikogo lubić, nikim się zachwycać, żeby zaraz nie... Fe, Janku, oszalałeś chyba! Nigdy już o nim nie wspomnę.

- Ależ, Boże uchowaj, Kamilo, ja wcale tak nie myślałem... Doprawdy, nie powinnaś zaraz przypuszczać... Przeciwnie, wyrażę mu podziękowanie za to, że cię tak sympatycznie bawił.

- Tak, niechbyś tylko spróbował to uczynić, odważ się to zrobić! Ja w każdym razie nigdy w życiu już nie zamienię z nim ani słowa.

Milczenie.

- Dobrze więc, dajmy temu spokój - odzywa się Janek. - Chcesz już odejść?

- Tak, nie mogę zostać dłużej. Jak daleko posunąłeś się ze swoją pracą?

Mama pytała mnie o to. Wyobraź sobie, od tylu tygodni nie widziałam się z Wiktoria, a teraz właśnie spotkałam ją.

- Teraz właśnie?

- Tak, idąc do ciebie. - Uśmiechnęła się.

- Ale nie masz pojęcia, jak schudła! Słuchaj tylko, czy raz nareszcie wybierzesz się do nas?

- Owszem, wkrótce - odpowiada i zrywa się nagle. Ciemny rumieniec oblewa mu twarz.

- Może już w tych dniach. Przedtem muszę jeszcze napisać coś, co mi właśnie na myśl przyszło, zakończenie do moich baśni. Tak, tak, muszę coś napisać, muszę!

Wyobraź sobie ziemię widzianą z góry niby wspaniałą, niezwykłą kapę papieską. W

jej fałdach przechadzają się ludzie, chodzą parami, jest wieczór i całkiem cicho, godzina miłości. Nazwę to: „Ród”. Przeczuwam, że będzie to potężne; tyle razy już wizję tę miałem przed oczyma i za każdym razem miałem wrażenie, że mi pierś rozsadzi, że mógłbym świat cały objąć w uścisku. Oto, Kamilo, przesuwają się tam ludzie i zwierzęta, i ptaszki, i wszystko to ma godzinę swojej miłości. Zakwita nadzieja zachwyty bezgranicznych, oczy rozpalają się, pierś faluje. Potem unosi się z ziemi delikatna czerwień; jest to czerwień wstydu wszystkich tych nagich serc i noc staje się różowa. A hen w oddali spoczywają góry wielkie i śpiące; one niczego nie widziały i nie słyszały niczego. A o poranku Bóg zsyła na wszystko ciepłe swoje słońce. „Ród”, taki będzie tytuł.

- Ach!

- Tak. A gdy się z tym uporam, przyjdę. Dzięki ci stokrotnie, Kamilo, że byłeś tu u mnie. I zapomnij o tym, co przedtem mówiłem. Nie miałem, doprawdy, nic złego na myśli.

- Wcale tak nie myślę. Ale nazwiska jego nigdy już nie powtórzę. Nigdy.

Następnego przedpołudnia Kamila znowu przyszła. Jest blada i niezwykle zaniepokojona.

- Co tobie? - pyta Janek.

- Mnie? Nic - odpowiada pośpiesznie. Ale ja ciebie jedynie kocham.

Doprawdy, nie powinieneś przypuszczać, że mnie się co stało i że ja ciebie nie kocham. Tak, teraz dowiedz się, co sobie wymyśliłam: my do Londynu nie pojedziemy. I po co zresztą mielibyśmy tam jechać. On z pewnością nie

wiedział, co mówi, ten człowiek; tam jest o wiele więcej mgły, niż on przypuszcza. Tak mi się przyglądasz i czemu? Przecie nie wymieniłam jego nazwiska. Taki kłamca, co on mi nablagował! Nie pojedziemy do Londynu.

- Nie, nie pojedziemy do Londynu - odpowiada w zamyśleniu.

- Tak! Nie uczynimy więc tego. Czy ukończyłaś „Ród”? Ach, Boże, jak mnie to zaciekawia. Musisz się tylko pośpieszyć, Janku, i potem przyjść do nas. Godzina miłości, czyż nie mówiłaś tak? I taka prześliczna kapa papieska z fałdami, taka różowa noc, Boże mój, jak ja wciąż to wszystko, coś mi opowiadał, dokładnie pamiętam. W ostatnim czasie nieczęsto tu zachodziłam, ale teraz codziennie przychodzić tu będę i dowiadywać się, czyś pracę już ukończył.

- Niebawem ją skończę - mówi i w dalszym ciągu się jej przygląda.

- Dzisiaj zabrałam twoje książki i ustawiłam u siebie w pokoju. Jeszcze raz je przeczytam; nie sprawi mi to najmniejszych trudności, cieszę się na to. Posłuchaj, Janku, mógłbyś być tak dobry i odprowadzić mnie do domu; bo nie wiem, czy byłoby bezpiecznie, gdybym sama wracała. Doprawdy nie wiem. A może tam na ulicy czeka kto na mnie, może kto przechadza się tam i czeka na mnie. Jestem prawie tego pewna... - Nagle wybucha płaczem i mówi jękając się: - Nazwałam go kłamcą, a wcale tak źle o nim nie myślałam. On zupełnie nie kłamał, przeciwnie, on był przez cały czas... We wtorek urządzamy przyjęcie, będzie trochę gości, ale jego nie będzie, ty jednak musisz przyjść, słyszysz? Przyrzekasz mi przyjść? Ale ja przecie nie chciałam go oczerniać. Nie wiem, doprawdy, co sobie o mnie pomyślisz...

- Zaczynam cię rozumieć - mówi Janek.

Ona rzuca mu się na szyję, twarz skrywa na jego piersi, drżąca, nieprzytomna.

Tak, ale ja ciebie również kocham - wybucha na nowo. - Ty musisz mi wierzyć. Ja nie jego samego tylko kocham, tak głupia nie jestem. Kiedyś ty zapytał

mnie w roku zeszłym, byłam taka szczęśliwa; teraz jednak zjawił się on. Pojąć tego nie mogę. Janku, czy to tak szkaradnie z mojej strony? Być może, że kocham go odrobinę więcej niż ciebie; jam temu nie winna, to mnie tak zaskoczyło. Ach, Boże, ileż nocy nie spałam, odkąd go poznałam, a teraz kocham coraz więcej i mocniej. Co ja mam począć? Jesteś o tyle starszy ode mnie, poradź mi. Przed chwilą odprowadził

mnie tu, stoi tam na ulicy i oczekuje mnie, żeby znowu do domu odprowadzić, i z pewnością marznie tam teraz. Janku, pogardzasz mną? Nie pocałowałam go, nie, tego nie uczyniłam; dałam mu tylko moją różę. Janku, czemu ty milczysz?

Powinieneś mi powiedzieć, co mam uczynić, bo dłużej tak nie wytrzymam.

Janek słuchał spokojnie. Wreszcie rzekł:

- Na to nie mam nic do powiedzenia.

- Dzięki, dzięki ci, kochany Janku, jakiś ty dobry, że się na mnie nie złościsz - zawołała, ocierając łzy. - Nie powinieneś jednak przypuszczać, że ja ciebie nie lubię.

Boże wielki, odwiedzać cię będę teraz częściej niż dotychczas i czynić będę wszystko, co zechcesz. Ale w tym wszystkim jest tylko to jedno, że jego bardziej lubię. To nie moja wina.

Podniósł się i wkładając kapelusz rzekł:

- Pójdziemy? - Zeszli po schodach.

Na dole stał Richmond. Młody brunet z piwnymi oczyma promieniejącymi młodością i życiem.

Mróz zaróżowił mu policzki.

- Zimno panu? - zapytała Kamila, podbiegając ku niemu.

Głos jej drżał z nadmiaru wzruszenia. Nagle podbiegła z powrotem do Janka, wsunęła rękę pod jego ramię i rzekła:

- Wybacz, że i ciebie nie zapytałam, czy ci nie zimno. Nie wzięłeś płaszcza; czy mogę pójść po niego na górę? Nie? Zapnij przynajmniej kurtkę.

Zapięła mu kurtkę.

Janek uściśnął dłoń Richmonda. Znajdował się w stanie dziwnej nieprzytomności, jakby to, co się teraz działo, właściwie nie jego dotyczyło.

Uśmiechnął się niepewnie, z przymusem i bąknął:

- Cieszy mnie, że pana znowu spotykam.

Zachowanie Richmonda było całkiem swobodne. Przy powitaniu ukłonił się bardzo nisko, a na twarzy jego ujawniła się nieklamana radość z powodu spotkania z Jankiem.

- Ostatnio widziałem jedną z książek pańskich w oknach księgarń londyńskich

- rzekł.

Był to przekład angielski. Jakże się ucieszyłem, było to jakby pozdrowienie z ojczyzny.

Kamila szła między nimi i spoglądała to na jednego, to na drugiego.

Wreszcie odezwała się:

- A więc we wtorek przyjdiesz do nas, Janku. Ach, daruj, że tylko o własnych myślę sprawach - dodała ze śmiechem. A jednocześnie zwróciła się do Richmonda i pełna skruchy prosiła go, aby i on przyszedł. Będą tylko sami znajomi, Wiktoria i matka jej oraz jakie pół tuzina osób.

Nagle Janek przystanął i rzekł:

- Właściwie mogę już wrócić do domu.

- Do widzenia, we wtorek - odparła Kamila.

Richmond ujął dłoń Janka i szczerze uścisnął.

Podążyli swoją drogą, sami i szczęśliwi.

12.

Matka, w szatach błękitnych, znajdowała się w stanie najokropniejszego napięcia. Wiedziała, że lada chwila rozlegnie się z ogrodu sygnał, gdy tymczasem droga stamtąd wiodąca była zatarasowana; nikt przejść nią nie może dopóty, dopóki mąż z domu nie wyjdzie. Ach, ten mąż, ten księżycowy człowiek ze swoją czterdziestką na karku! Jakaż myśl niesamowita zrodziła się w nim, od której tak pobladł dzisiejszego wieczoru i która przykuła go wręcz do krzesła? Oto siedzi tu niewzruszony, nieubłagany i wzrok osowiały wlepia w gazetę.

Była pełna niepokoju; godzina jedenasta. Dzieci dawno już do snu ułożyła, a mąż jak siedział, tak siedzi. A nuż sygnał się rozlegnie, kluczyk mały, miły drzwi otworzy - i dwóch mężczyzn się spotka twarz w twarz i spojrzy sobie w oczy! Nie miała odwagi dokończyć tej myśli.

W najciemniejszym kącie pokoju usiadła, załamywała ręce, wiała się, wreszcie rzekła bez ogródek:

- Jest godzina jedenasta. Jeśli masz zamiar pójść do klubu, powinieneś wyjść zaraz.

Zerwał się z krzesła jeszcze bledszy niż przedtem i wyszedł z pokoju, z domu.

Na dworze za ogrodem zatrzymuje się i nasłuchuje jakiegoś gwizdnięcia, cichego sygnału. Szelest kroków rozlega się na żwirówce, klucz ktoś wkłada w zamek bramy domu i przekręca go ostrożnie; a po chwili dwa cienie ukazują się na zasłoniętym oknie pokoju.

Od dawna już znał ten sygnał, te kroki i te dwa cienie na firance; wszystko to było mu znane.

Idzie do klubu. Klub otwarty, światło, w oknach, mimo to nie wchodzi. Pół

godziny wałęsał się po ulicach i przed ogrodem swoim, dwa kwadranse długie jak wieczność. „Niechże jeszcze kwadrans poczekam!”, mówi sobie i kwadrans ten przedłuża do trzech kwadransów. Potem wchodzi do ogrodu, wchodzi na górę i dzwoni do własnego mieszkania. Służąca otwiera drzwi, wychyla się nieco i mówi:

- Pani dawno już...

- Wiem, wiem, poszła spać - odpowiada.

Proszę powiedzieć pani, że mąż jej powrócił.

I służąca odchodzi. Puka do swej pani i oznajmia przez zamknięte drzwi:

- Miałam powiedzieć, że mąż pani wrócił.

Pani pyta z wewnątrz pokoju:

- Co mówisz, pan wrócił? Kto ci to kazał powiedzieć?

- Pan sam. Stoi w sieni za drzwiami.

Jęk rozpaczliwy rozlega się w pokoju pani, potem gwałtowne szepty, otwieranie jakichś drzwi i zamykanie. Wreszcie wszystko się ucisza.

I wtedy wchodzi mąż. Żona jego idzie naprzeciw niemu z lękiem śmiertelnym w sercu.

- Klub był zamknięty - rzekł zaraz na wstępie, powodowany litością. -

Kazałem cię uwiadomić, żebyś się nie przestraszyła.

Ona osuwa się na krzesło uspokojona, wybawiona, uratowana. W przystępie tej niespodziewanej szczęśliwości fala dobroci zalewa jej serce, przeto zapytuje, jak się miewa:

- Takiś blady, najdroższy. Czy ci co dolega?

- Mnie nie zimno - odpowiada.

- A może spotkała cię jakaś przykrość? Twarz twoja tak dziwnie wykrzywiona.

- Nie, to jest mój uśmiech - brzmi jego odpowiedź. - Odtąd tak tylko będę się uśmiechał, ten grymas przyswoję sobie teraz na zawsze.

Ona słucha tych słów urywanych, chrypliwych i nie może ich zrozumieć. Co on ma na myśli?

Nagle chwytą ją w swoje ramiona jak gdyby w kleszcze żelazne, z siłą przerażającą, i szepce jej prosto w twarz:

- Jak myślisz, gdybyśmy tak rogi mu przyprawili, temu, co właśnie odszedł,

gdybyśmy przyprawili mu rogi?

Ona krzyczy i woła na służącą. On uwalnia ją z cichym, suchym chichotem, przy czym usta otwiera jakby do ziewania i uderza się po udach.

Nazajutrz rano dobre serce małżonki znowu bierze górę, więc odzywa się do męża:

- Wczoraj wieczorem miałeś taki dziwny napad; teraz wszakże już się uspokoiłeś, ale blady jesteś wciąż jeszcze.

- Tak - odpowiada on - w moim wieku trudno być dowcipnym. Już więcej się na to nie odważę.

Mnich Vendt jednak, opowiedziawszy o wszelkiego rodzaju miłościach, przedstawia jeszcze jeden, o którym mówi: „Jakże upajający jest ten osobliwy gatunek miłości!”

Młodzi państwo wrócili właśnie z dalekiej podróży poślubnej i udają się na spoczynek.

Gwiazda spadająca przeleciała nad ich dachem.

Latem przechadzali się razem, nie rozłączając się ani na chwilę. Kwiaty żółte i czerwone, i niebieskie zrywali i wzajemnie je sobie ofiarowywali, patrzyli na trawę falującą w podmuchach wiatru i wsłuchiwali się w śpiew ptaków w lesie, a każde słowo z ich ust było jak gdyby pieszczotą. Zimą jeździli z dzwonkami u sani, niebo tonęło w błękicie, a hen wysoko, na wieczystych równinach szumiały gwiazdy.

Tak minęło wiele, wiele lat. Młodzi państwo mieli troje dzieci, a serca ich pały tą samą miłością, jak podczas pierwszego ich pocałunku.

Wtem zachorował dumny pan, a choroba przykuła go na długi czas do łóżka i na twardą próbę wystawiła cierpliwość jego żony. A kiedy wyzdrowiał i łoże opuścił, nie poznał sam siebie.

Wyłysiał i zeszpetał.

Cierpiał i bił się z myślami. Kiedyś rzekł:

Teraz pewnie już mnie nie kochasz?

Ona jednak, rumieniąc się, objęła go i całowała tak gorąco, jak czasu wiosny jego młodości.

- Kocham, kocham cię niezmiernie. Nie zapomnę nigdy, żeś wybrał mnie, a nie inną, i że dałeś mi tyle szczęścia.

I poszła do swego pokoju, i obcięła włosy złociste, żeby upodobnić się do swego męża, którego kochała.

I minęło znowu wiele, wiele lat, młodzi państwo postarzelisi się, a dzieci ich dorosły. Każdą chwilę szczęścia dzielili z sobą jak dawniej: latem wychodzili za miasto, na pola i łąki i przyglądali się falującej trawie, a zimą przywdziewali swe futra i jeździli pod niebem gwiaździstym. I serca ich były zawsze ciepłe i pogodne, jakby pod działaniem cudownego nektaru.

I wtedy stało się, że pani ochromiała. Bezwład zupełny spętał jej nogi, trzeba ją było wozić w krzesle na kółkach i oto mąż sam ją woził. Pani jednak niewymownie cierpiała z powodu swego nieszczęścia i troska ta poorwała jej twarz głębokimi zmarszczkami.

Wtedy powiedziała pewnego dnia:

- Teraz pragnęłabym umrzeć. Taka jestem bezwładna i taka brzydka, a twarz twoja taka piękna, ty nie możesz mnie już ani całować, ani tak kochać, jak dawniej.

Ale pan obejmuje ją, zarumieniony ze wzruszenia, i mówi:

- Kocham cię nad życie własne, ty miłości moja, kocham cię tak, jak wówczas, dnia pierwszego, pierwszej chwili, kiedy darowałaś mi różę. Pamiętasz? Podałaś mi różę i spojrzałaś na mnie swymi ślicznymi oczyma; róża pachniała tobą, a ty spłonęłaś rumieńcem róży i upojenie ogarnęło wszystkie moje zmysły. Obecnie jednak kocham cię jeszcze więcej, piękniejsza jesteś niż czasu swej młodości i serce moje dziękuje ci, i błogosławi cię za każdy dzień, któryś ze mną przeżyła.

I pan udaje się do swego pokoju, twarz swoją oblewa kwasem, żeby się oszpecić, a potem oznajmia swojej żonie:

- Nieszczęście chciało, że kwas opryskał twarz moją, na policzkach mam pełno oparzelin, teraz pewnie przestaniesz mnie kochać?

- O, ty mój luby, ty mój umiłowany! - mówi staruszka głosem urywanym i całuje jego ręce.

- Piękniejszy jesteś niż ktokolwiek na świecie, serce moje na dźwięk twego głosu wciąż jeszcze płonie i kochać cię nie przestanie aż do śmierci.

13.

Janek spotyka Kamilę na ulicy; jedzie w towarzystwie matki swojej, ojca i młodego Richmonda; zatrzymują powóz i rozmawiają z nim przyjacielsko.

Kamila chwyta go za ramię i mówi:

- Nie przyszedłeś do nas. A przyjęcie urządziliśmy wielkie; czekaliśmy na ciebie do ostatniej chwili, lecz ty nie przyszedłeś.

- Miałem przeszkodę - odparł.

- Wybacz, że od tego czasu nie odwiedziłam ciebie. Ale w najbliższych dniach przyjdę z pewnością, zaraz po wyjeździe Richmonda. Ach! Co to było za przyjęcie!

Słyszałeś o tym, że Wiktoria zachorowała i że odwieziono ją do domu? Wkrótce wybiorę się do niej. Zapewne już jej lepiej, a może zresztą już zupełnie wyzdrowiała.

Wiesz, Richmondowi ofiarowałam medalion, taki sam prawie, jak tobie. Słuchaj, Janku, musisz mi przyrzec, że będziesz uważał na swój piec: pisząc bowiem, zapominasz o wszystkim i wtedy masz u siebie lodownię. W takich razach powinieneś zadzwonić na służącą.

- Tak, powinienem zadzwonić na służącą - powtórzył.

I pani Sejer z nim rozmawiała, dowiadywała się o jego pracę, o „Ród”; co się z nim dzieje? Nowej jego książki oczekuje z utęsknieniem.

Janek udzielał odpowiedzi lakonicznych, niezbędnych, skłonił się nisko i powóz odjechał. Jakże mało obchodziło go to wszystko, ów powóz, owi ludzie, owa gadanina! Uczucie pustki i zimna oładnęło nim i towarzyszyło mu w drodze powrotnej. Jakiś mężczyzna przechadzał się przed bramą jego domu, dawny znajomy, były nauczyciel domowy na zamku.

Janek powitał go.

Ubrany był w długi, ciepły surdut, oczyszczony starannie, i miał minę butną, pewną siebie.

- Widzi pan tu przyjaciela swego i kolegę - rzekł. - Podaj mi pan rękę, młody człowieku. Od czasu kiedyśmy się widzieli, Bóg dziwnymi poprowadził mnie drogami; ożeniłem się, mam dom, ogródek, żonę. Zdarzają się jeszcze cuda w życiu.

Czy do takiego sformułowania ma pan jakieś zastrzeżenia?

Janek patrzy na niego zdziwiony.

- A więc, przypuśćmy. Otóż, uważaj pan, uczyłem jej syna. Ma syna z pierwszego małżeństwa; oczywiście była już raz zamężna i owdowiała. Ożeniłem się więc z wdową. Mógłby pan zaoponować, że co innego mi nad kołyską śpiewano; ja jednak ożeniłem się z wdową. Chłopaka miała z pierwszego małżeństwa. Bywam tam, oglądam sobie ogród i wdowę i żyję czas dłuższy tą tylko myślą. Nagle dokonuję odkrycia i powiadam sobie: Wprawdzie co innego śpiewano mi nad kołyską i tam dalej, lecz mimo to uczynię tak i zgodzę się, ponieważ to mi prawdopodobnie było pisane. Widzi pan, i tak się to stało.

- Winszuję! - rzekł Janek.

Stop! Ani słowa więcej! Wiem, co pan chce powiedzieć. A tamta, ta pierwsza, tak mianowicie chce pan powiedzieć, czyżby pan zapomniał już o ideale swej młodości? To dosłownie chce pan powiedzieć. Czy wobec tego, łaskawco, pozwolisz, że zapytam ciebie, gdzie się podziała miłość moja pierwsza, jedyna i wieczysta? Czy nie przepadła w objęciach pewnego kapitana artylerii? A poza tym jeszcze jedno małe zapytanie: Czy pan widział kiedykolwiek, ażeby mężczyzna dostał kobietę, którą dostać był powinien? Istnieje podanie o człowieku, którego Bóg wysłuchał i pozwolił mu poślubić pierwszą jego i jedyną miłość. Ale wielkiego pożytku z tego nie wyniósł. A dlaczego? - zapyta pan znowu; więc uważaj pan, co panu odpowiem: Dlatego, zwyczajnie, że zaraz umarła, zaraz, słyszy pan, cha, cha, cha, natychmiast po ślubie. I tak dzieje się zawsze. Rzecz jasna, nie dostaje się tej, którą się dostać powinno; a jeżeli się to bodaj raz jeden przydarzy słusznie i sprawiedliwie, wtedy ona zaraz umiera. Tego się już nie odmieni. Mężczyźni zatem nie pozostaje nic innego, jak zdobyć sobie miłość nową gatunku możliwie najlepszego i z powodu tej zmiany nie potrzebuje wcale umierać. Powiadam panu, natura urządziła to już tak mądrze, że każdy wytrzymać to może doskonale. Przyjrzyj się pan mnie, na przykład.

- Widzę, że się panu dobrze powodzi - rzekł Janek.

- Jak dotąd, doskonale. Patrz pan, dotykaj, słuchaj! Czy przewaliło się przeze mnie morze ciężkich trosk? Mam ubranie, buty, dom i ognisko, mam żonę i dziecko, ano, myślę o owym chłopaku. Co to jeszcze chciałem powiedzieć, aha, co się tyczy moich poezji, odpowiem panu natychmiast. Ach, koleżko młody, starszy jestem od pana i przez naturę wyposażony nieco hojniej. Poezje swoje mam w szufladzie.

Ukażą się dopiero po mojej śmierci. W takim razie nie dają panu żadnej satysfakcji -

powie pan. I znowu się pan myli, tymczasem bowiem sprawiam radość mojej rodzinie. Wieczorem, gdy lampa już zapalona, otwieram szufladę, dobywam moje wiersze i czytam je mojej żonie i chłopcu. Ona ma lat czterdzieści, a on dwadzieścia, zachwycają się oboje. Jeżeli się pan kiedy do nas wybierze, poczęstujemy pana wieczerzą i szklanką grogu. Tym samym uważaj się pan za zaproszonego. Niechaj Bóg ma pana w swej opiece.

Podał Jankowi rękę. Lecz nagle zapytał:

- A słyszałeś pan o Wiktorii?

- O Wiktorii? Nie. Chociaż owszem, słyszałem dopiero co, przed chwilą...

- Czy nie zauważyłeś pan, jak marniała i jak z wolna coraz bardziej miała podkrążone oczy?

Nie widziałem jej od wiosny. Czy jeszcze chora?

Nauczyciel odpowiedział z komiczną wręcz surowością, tupnąwszy przy tym nogą:

- Tak!

- Słyszałem właśnie... Nie, nie widziałem jej chorującej, nie spotkałem jej. Czy bardzo chora?

- Bardzo. Prawdopodobnie już nie żyje, rozumiesz pan.

Janek ogłuszony spoglądał to na nauczyciela, to na drzwi swego domu, nie wiedział, czy ma odejść, czy pozostać, potem znowu patrzył na tego człowieka, na długi jego tużurek, na jego kapelusz; uśmiechał się, zmieszany i urażony, niby biedak bezradny.

A stary nauczyciel ciągnął dalej groźnie:

- Nowy przykład; czy może pan temu zaprzeczyć? I ona również nie dostała tego, którego dostać była powinna, narzeczonego z lat dziecięcych, młodego, znakomitego porucznika. Pewnego wieczora poszedł na polowanie, strzał trafia go w samo czoło i druzgocze mu czaszkę. I pada martwy, ofiara igraszki Bożej. Wiktoria, narzeczona jego, zaczyna chorować, robak jakiś ją toczy i rwie jej serce na strzępy; my, przyjaciele jej, patrzeliśmy na to. I oto przed kilku dniami udała się na zabawę rodzinną do państwa Sejerów; mówiła mi zresztą, że i pan tam miałeś być, ale nie przyszedłeś. Krótko mówiąc, podczas tej zabawy przemęcza się ponad siły, wspomnienia jej miłości uderzają na nią jak burza i pobudzają ją do przekornej wesołości, więc tańczy, tańczy cały wieczór, tańczy jak szalona. Wtem pada, na podłodze krew, podnoszą ją, wynoszą, odwożą do domu. Niedługo się męczy.

Nauczyciel przystępuje do Janka całkiem blisko i rzuca twardo:

- Wiktoria umarła.

Niby ślepiec, Janek zaczyna macać przed sobą rękoma w powietrzu.

- Umarła? Kiedy? A więc Wiktoria umarła?

- Umarła - odpowiada nauczyciel. - Umarła dziś rano. - Ręką sięgnął do kieszeni i wydobyl grubą list. - I ten list mi powierzyła, żebym go panu wręczył. Oto jest. „Po mojej śmierci”, powiedziała. Umarła. List panu oddaję. Misja moja spełniona.

I nauczyciel bez ukłonu, bez słowa pożegnania odwrócił się i powlókł wolno ulicą.

Janek stał w miejscu z listem w ręku. Wiktoria umarła. Raz po raz wymawiał

imię jej głośno, a głos jego brzmiał zimno, niemal stalowo. Spojrzał na kopertę i poznał jej pismo; litery duże i małe, linie proste, a ta, która je pisała, umarła!

Potem automatycznie wchodzi w bramę swego domu, wchodzi na piętro, wyjmując klucz i otwiera drzwi. W pokoju jego zimno i ciemno. Siada przy oknie i w szarym świetle dogasającego dnia czyta list Wiktorii: Kochany Janku! W chwili gdy Pan list ten czyta, już nie żyję. Wszystko wydaje mi się teraz takie dziwne, nie wstydę się już teraz i piszę do Pana znowu, jak gdyby usunięte zostały wszelkie przeszkody. Kiedy bowiem przy pełnym znajdowałam się zdrowiu, wolałabym raczej najsroźsze ponieść męczarnie, niż pisać znowu do Pana; teraz jednak zbliża się kres mego życia i myślę już całkiem inaczej. Ludzie obcy byli świadkami mego krwotoku, lekarz zbadał mnie i orzekł, że pozostał mi jeszcze strzępek jednego płuca, czegoż więc mam się jeszcze wstydzić?

Leżąc tu, rozmyślałam nad słowami, jakie powiedziałam Panu przy ostatnim naszym spotkaniu. Było to onego wieczoru w lesie. Nie przypuszczałam wówczas, że będą to słowa moje ostatnie, inaczej byłabym Pana pożegnała, dziękując za wszystko. Teraz już Pana więcej nie zobaczę, dlatego żal mi dziś, że nie rzuciłam się przed Panem i nie całowałam stóp Pańskich i ziemi, po której stąpałeś, aby dowieść, jak niewymownie Pana kocham. Leżąc tu, pragnęłam jednego, pragnęłam polepszenia o tyle przynajmniej, żebym mogła do domu powrócić i pójść do lasu, i odszukać to miejsce, gdzieśmy siedzieli, kiedy Pan tulił w swych dłoniach obie moje ręce; wtedy bowiem mogłabym się tam położyć i przekonać się, czy nie odnajdę jakich śladów stóp Pańskich, i wtedy też mogłabym wszystek wrzos dokoła zasypać pocałunkami. Ale teraz nie mogę jeszcze wracać do domu, dopóki mi się choćby trochę nie polepszy. Matka wierzy w to, że wyzdrowieję.

Janku kochany! Jakże to dziwne uświadomić sobie, iż niczego więcej nie dokonałam, jak tylko to, że na świat przyszłam i kochałam Pana, i już oto z życiem rozstać się muszę. Wierzaj mi Pan, że jest to uczucie dziwaczne leżeć tak i oczekiwać ostatniej swej godziny. Krok za krokiem oddalam się od życia i od tych ludzi na ulicy, i od tego turkotu wozów. I wiosny zapewne także już nie zobaczę, a domy te i ulice, i drzewa w parku, one wszystkie mnie przeżyją. Dzisiaj mogłam cokolwiek usiąść na łóżku i patrzeć przez okno. Na dole, na narożniku ulicy spotkało się dwoje, przywitali się podaniem ręki i śmiali się z tego, co mówili; wtedy jednak było mi tak dziwnie, że ja, leżąc tu i patrząc na nich, mam umierać. Mimo woli przyszło mi na myśl: ci dwoje tam na dole nie wiedzą wcale, że ja tu na górze leżę i oczekuję swej godziny, lecz choćby i wiedzieli, przywitaliby się mimo to i gawędziliby tak samo, jak w tej chwili. Minionej nocy, gdy było ciemno, myślałam, że wybiła ostatnia

moja godzina, serce moje ustawało i miałam wrażenie, iż słyszę już z oddali poszum wieczności. W chwilę potem jednak wróciłam z daleka i zaczęłam na nowo oddychać. Było to uczucie nadzwyczajne, nie dające się wręcz opisać. Mama wszakże przypuszcza, że był to może szum młynówki albo wodospadu, o których często myślę. Boże miłosierny! Janku, gdybyś Pan wiedział, jak bardzo ja Pana kocham. Nie mogłam była tego Panu okazać, za wiele przeszkód miałam na swej drodze, a przede wszystkim własne moje usposobienie. Ojciec był także względem siebie taki niedobry, a ja jestem jego córką. Lecz teraz, skoro mam umrzeć i wszystko już przepadło, piszę do Pana raz jeszcze i mówię to Panu otwarcie. Pytam siebie, dlaczego to czynię, gdy rzecz ta Panu przecie obojętna, zwłaszcza że żyć już nie będę; chciałabym jednak do ostatniego tchu być blisko Pana, tak ażebym przynajmniej nie czuła się bardziej opuszczona niż dotychczas. Gdy Pan to czyta, zdaje mi się, że widzę ramiona Pańskie i ręce, i wszystko widzę, co Pan czyni z tym listem, trzymając go przed sobą i czytając. I wtedy, myślę, będziemy blisko siebie. Nie mogę Pana wezwać do siebie, nie mam prawa do tego. Mama zamierzała już przed dwoma dniami posłać po Pana, ja przecież wolę napisać. Pragnęłabym także, żeby Pan przypomniał mnie sobie taką, jaką byłam niegdyś, będąc zdrową. Pamiętam jeszcze, jak Pan... (tu brak kilku słów)...oczy moje i brwi; ale i one już nie takie jak ongi. Więc i z tego powodu nie chciałam, żeby Pan przyszedł. I pragnęłabym też Pana uprosić, ażebyś nie patrzył na mnie, gdy spocznę w trumnie. Wyglądam zapewne jeszcze tak mniej więcej jak za życia, tylko nieco bledsza, i w żółtej spoczywam sukience; lecz mimo to pożałowałyby Pan, gdyby przyszedł i mnie zobaczył.

Piszę dziś ten list, przerywając go wiele razy, a przecież nie powiedziałam Panu nawet tysięcznej części tego, co chciałam powiedzieć. Tak mi straszno umierać, ja nie chcę umrzeć, wierzę jeszcze z całego serca, że może bodaj odrobinę mi się polepszy, że przetrwam choćby tylko do wiosny. Dni wtedy są jasne i drzewa pełne liści. Gdybym teraz wyzdrowiała, Janku, nigdy bym już nie była dla Pana niedobra.

Ileż łez wylałam, Janku, myśląc o tym! Ach, wyszłabym i pieściła kamienie brukowe, i przystawałabym, wyrażając wdzięczność każdemu stopniowi w klatce schodowej, i byłabym dobra dla wszystkich. I choćby mi się wiodło najgorzej, byłoby mi to obojętne, gdybym tylko żyć mogła. I nie uskarżałabym się już nigdy, nigdy, a tego, kto by mnie napadł i bił, nagrodziłabym uśmiechem i modły dziękczynne słałabym do Boga, gdybym tylko żyć mogła. Życie moje takie nie wyzyskane, nie przysłużyłam się nikomu choćby w czym najmniejszym, i chybione to życie ma się teraz zakończyć. Gdyby Pan wiedział, jak niechętnie umieram, może byś przyszedł

mi z pomocą i uczynił wszystko według sił swych i możliwości. Ale Pan zapewne nic by tu pomóc nie mógł; pomyślałam jednak, że gdyby Pan i wszyscy ludzie na ziemi modlili się za mnie i z tego świata puścić mnie nie chcieli, wtedy Bóg na pewno darowałby mi życie. Ach, jakże bym wdzięczna była i nigdy bym już nikomu nie wyrządziła najmniejszej krzywdy, i uśmiechałabym się do wszystkiego, co by mi było przeznaczone, gdybym tylko mogła żyć.

Mama siedzi tu i płacze. I całą noc tu przesiedziała płacząc nade mną. Sprawia mi to pewną ulgę, łagodzi gorycz rozstania. Dziś też pomyślałam sobie: co by Pan powiedział na to, gdybym tak którego dnia przystąpiła do Pana na ulicy i gdybym, ładnie będąc ubrana i nie mówiąc nic dokuczliwego, podała Panu różę, którą przedtem mogłam być kupić. Ale niebawem uświadomiłam sobie zaraz, że nigdy już nie będę mogła postąpić tak, jak zechcę, bo zapewne nigdy już nie będę zdrowa, zanim umrę. Płaczę tak często, leżę cichutko i płaczę bezustannie, niepoczyszona; a skoro tylko nie szlocham, to i bólu w piersiach nie czuję. Janku, przyjacielu kochany, najdroższy, umiłowany mój, jedyny na całym świecie, przyjdź do mnie, przyjdź teraz i bądź przy mnie, gdy zaczniesz zmierzchać. Wtedy przestanę płakać, a będę się uśmiechać, tak jak umiem, szczęśliwa z Pańskiego przybycia.

Ależ nie, gdzież duma moja i moja odwaga! Nie jestem w tej chwili córką mego ojca; ale to stąd pochodzi, że z sił opadłam zupełnie. Janku, cierpię od dawna, od bardzo dawna. Cierpiałam, kiedy Pan bawił za granicą, i później, kiedy wiosną przybyła tu do miasta; wszystkie te dni były dla mnie jednym pasmem cierpienia.

Przedtem nigdy nie wiedziałam, jak nieskończenie długa może być noc. W tym czasie widziałam Pana dwa razy na ulicy; pierwszym razem, przechodząc obok mnie, nucił Pan jakąś melodię, ale Pan mnie nie widział. W głębi serca żywiłam skrytą nadzieję spotkania Pana u Sejerów, ale Pan nie przyszedł. Nie byłabym niepokoiła Pana swoją rozmową, ani sąsiedztwem bezpośrednim, a przecież wdzięczna byłabym za to, że bodaj z daleka mogę na Pana patrzeć. Ale Pan nie przyszedł. I wtedy pomyślałam sobie, że Pan nie przyszedł może ze względu na moją obecność. Nie mogąc znieść dalszego oczekiwania, zaczęłam o jedenastej tańczyć. Tak, Janku kochałam Pana, w całym moim życiu tylko Pana kochałam. Ja to piszę, Wiktorii, i co tu piszę - czyta Bóg.

A teraz muszę Pana pożegnać, ściemniło się, nic już prawie nie widzę. Janku, żegnam Pana i dzięki Ci za każdy dzień. Na odlocie jeszcze z tej ziemi dziękować Panu będę do ostatniej chwili i powtarzać będę cichutko imię Twoje przez całą drogę. Tedy szczęścia Panu życzę w całym życiu i przebac mi wszelkie krzywdy, jakże Ci wyrządziłam, jako też i to, że nie mogę paść

przed Tobą na kolana, by ubłagać przebaczenie. Czynię to teraz w sercu moim. Żegnam Cię więc, Janku, żegnam na zawsze. I jeszcze raz dzięki Panu za dzień każdy i każdą godzinę. Więcej już nie mogę.

Pańska Wiktoria

Teraz lampę kazałam zapalić, stąd o wiele jaśniej dokoła mnie. W półśnie pogrążona leżałam i byłam znowu daleko od ziemi. Bogu dzięki, nie było tak okropnie, jak przedtem. Słyszałam nawet cichą muzykę, a przede wszystkim nie było ciemno. Taka wdzięczna jestem. Lecz brak mi już sił do pisania. Żegnam Cię, Umiłowany...